W NUMERZE M.IN: **Feliks Z. Weremiej** - Enklawa nad Nietupą ● **Mirosław Derecki** - Znowu moda na Kazimierz ● **Adam A. Witusik** - Mecenat Zamoyskiego ● **Bogdan Madej** - Nad rzeką

Humor bułgarski

Wychodzi od 1933 r.

# Kamena

LUBLIN 26 VIII 1973 Nr 17 (529) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

## Kto ukradł 60 patentów?

Jerzy Dostatni

PYTANIE, które zadaję mojemu rozmówcy, okazuje się zaskakujące. Ja pytam o to, jak wyglądają u nich przygotowania do startu w Wojewódzkiej Sztafecie Racjonalizacji, a przewodniczący Rady Zakładowej w Zakładach Ceramicznych „Krasnystaw" mówi, że prowadzi się u nich współzawodnictwo pracy, że istnieje komisja współzawodnictwa... Tłumaczę, że nie o to przecież chodzi, ale o nową formę rozbudzania inicjatywy racjonalizatorskiej, zainicjowaną przez Wojewódzką Radę Związków Zawodowych w Lublinie. Ale przewodniczący o niczym nie wie.

Początkowo wydaje mi się, że winą należy obciążyć Związek Zawodowy Chemików. Wprawdzie zarząd okręgu tego związku znajduje się w Warszawie i nie podlega żadnym władzom lubelskim, wprawdzie ze stołecznej wysokości — myślę sobie — nie zawsze dostrzega się, lub chce się dostrzegać tzw. inicjatywy terenowe — ale okazuje się, że to tylko część prawdy. Albowiem przewodniczący Rady Zakładowej „Krasnegostawu" musi mieć dwie dusze, a właściwie dwa ciała. Jest bowiem równocześnie przewodniczącym Powiatowej Rady Związków Zawodowych i tu już bezpośrednio podlega WRZZ w Lublinie.

Coś się więc zacięło w całej sprawie, zarówno od strony propagandowej jak i organizacyjnej. Oby tylko w tym jednym powiecie...

A właściwie w Zakładach Ceramicznych „Krasnystaw" sprawy racjonalizacji nie wyglądają — mówiąc oględnie — najlepiej. Słyszę to już w Komitecie Powiatowym PZPR. Na miejscu oce-

Dokończenie na str. 4

Fot. CAF — J. Trembecki

## Refleksje o edukacji

Bohdan Komorowski

STANISŁAW STASZIC w „Uwagach o życiu Jana Zamojskiego" włożył w usta swego bohatera pamiętną i już przysłowiową maksymę: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich synów chowanie". Dziś w dyskusjach nad Raportem Ekspertów o stanie oświaty coraz częściej słyszy się, że taki będzie socjalizm, jaki jest system oświatowo-wychowawczy. Stąd pragnienie powszechne w naszym kraju, by system ten był jak najlepszy.

Na swój sposób patrzy na sprawy edukacji szkolnej buntująca się młodzież uczniowska i studencka na Zachodzie, żywiąc prze-

Dokończenie na str. 8

## Zdolni do wszystkiego

Marian Narcyz Listowski

PEWNA matka, chcąc wobec dyrektora szkoły przedstawić walory umysłowe i zalety charakteru swoich synów, wyraziła się: panie dyrektorze, oni są zdolni do wszystkiego. No i rzeczywiście...

Z pokoju nauczycielskiego zginęły trzy dzienniki. W wyniku dochodzenia ustalono możliwy czas dokonania kradzieży z dokładnością do dziesięciu minut. Woźna podała rysopis chłopca, owego krytycznego dnia na korytarzu rzekomo czekającego na mamę-nauczycielkę, która miała klucze od mieszkania. Stwierdzono, że żadna z nauczycielek nie ma takiego syna, który odpowiadałby rysopisowi. Po trzech tygodniach mały harcerzyk zgłosił, że na budowie palono ognisko, po którym znaleziono kawałek okładki dziennika. Po tygodniu ustalono rysopis chłopca, który kręcił się na budowie. Oba rysopisy zgadzały się. Kilka dni później w innej dzielnicy miasta złapano w parku chłopców na hazardowej grze w karty. Jeden z nich, złapany na tym już po raz trzeci, odpowiadał rysopisowi poszukiwanego.

Był to uczeń klasy, której dziennik skradziono. Jako uczeń bez ocen niedostatecznych, zdolny matematyk. Chłopiec przyznał się do kradzieży dziennika wobec ojca, ujawniając przy tym, że dziennik spalił za wiedzą matki, która uważała, że nie uda się tego udowodnić jej synowi.

Dopiero po dwóch miesiącach ujawniono sprawcę kradzieży pozostałych dzienników, odnalezionych pod garażem, w momencie, gdy w tym samym miejscu ukrywał skradzione koledze zeszyty. Sprawcą był zupełnie dobry uczeń — nawet bez trójek. Przyczyną kradzieży była chęć uczynienia na złość wychowawczyni, która faworyzowała jego rywala o pierwszeństwo w klasie. Trzeci dziennik był zabrany tylko dla zmylenia śladów.

* * *

Zarządzenie ministra Oświaty i Wychowania z 12 kwietnia br. mówi, że dla wyrażenia oceny wyników sprawowania uczniów ustala się następującą skalę ocen: wzorowe, wyróżniające, dobre, odpowiednie, nieodpowiednie. W tym miejscu należy cytować cały § 10 zarządzenia:

§ 10. 1. Ocenę ze sprawowania należy rozumieć możliwie najściślej jako ocenę zachowania się ucznia w szkole i poza szkołą.

Przy wystawianiu oceny ze sprawowania bierze się pod uwagę sto-

Dokończenie na str. 8

Fot. J. Mirosław

## Junacka sprawa

Tadeusz Graba

POŁUDNIOWY rejon powiatu biłgorajskiego na Lubelszczyźnie: laski, piaski, lecz brak karasków, bo z wodą krucho. Na 49 kilometrach między Biłgorajem a rzeszowskim Niskiem zarysy przyszłej linii kolejowej, z której korzystać kiedyś będzie huta „Katowice". Wiadukty, mosty i nasypy przecinają pejzaż, oblepione setkami młodych ludzi z łopatami w dłoniach. To drugi wakacyjny turnus Ochotniczych Hufców Pracy, złożony z tysiąca niemal dziewcząt i chłopców, uczniów szkół średnich i zawodowych Lubelszczyzny — są wśród nich nieliczne grupy z województwa koszalińskiego — kończy trzytygodniowy okres pracy. „Biłgoraj" — największa w dziejach OHP akcja robocza zgromadziła około 3000 junaków, którzy w okresie od 27 czerwca do 25 sierpnia wykonali prace wartości kilkunastu milionów złotych. Generalny wykonawca inwestycji, Powiatowy Zarząd Dróg Lokalnych w Biłgoraju, wpakował w interes ponad 10 milionów złotych, m. in. zakładając trzy obozowiska, wyposażone w dziesięcioosobowe namioty, stołówki, kuchnie, umywalnie, zlokalizowane w Woli Dużej, Ciosmach i Hucie Krzeszowskiej, kilkanaście kilometrów jeden od drugiego. Akcję zorganizowała Wojewódzka Komenda OHP w Lublinie, podchodząc do sprawy z wyjątkowym rozmachem, co zaskakuje, jako że w ubiegłych latach podobne przedsięwzięcia były bardzo mizerne.

Wola Duża, pięć kilometrów za Biłgorajem. Godzina 5,30: pobudka opróżnia kolorowe namioty, stojące na skraju rzadkiego lasku. Kilka tygodni temu, kiedy przyjechał pierwszy turnus, w namiotach brakowało łóżek. Drugą grupę ominęła ta niespodzianka. Liczy ponad 200 junaków, w większości są to dziewczęta, co jest rzeczą normalną, jako że kobiet teraz wszędzie pełno, w szkołach także. Umywalnia chłopców jest odkryta z boków, a nakryta z góry, dziewczęta kryją się w szczelnie ogaconym baraczku, pomalowanym na zielono, co już w średniowieczu symbolizowało wartości wyższego rzędu. Ciepła i zimna woda leje się z kranów.

Ale tu w Hucie Krzeszowskiej i Ciosmach, nie było tak mokro. W czerwcu, zaraz po rozlokowaniu się pierwszego turnusu, woda ciekła tylko przez pół godziny, potem uciekła ze studni. Nawet głębinowe wiercenia nie mogły jej odszukać, dopiero różdżkarz uzdrowił brudną sytuację, choć też niezupełnie. Czerpano więc wodę z rzeczki o rozmiarach: 50 cm szerokości i 10 cm głębokości, odcedzając pijawki przy pomocy gazy, co nie podobało się higienistkom. Trudno powiedzieć, co by było, gdyby nie indywidualne rezerwy wodne, zgromadzone w pobliskiej gospodarskiej studni. Z powodu owego braku doszło zresztą do gorących kontrowersji między ludźmi z komendy OHP, a szefostwem Powiatowego Zarządu Dróg Lokalnych, zobowiązanym odpowiednimi porozumieniami do przygotowania terenu. Godne pochwały, że podczas sporu PZDL nie siedział na hydrologicznym alibi — „iły, piaski, jasne, że z wodą trudno" — wręcz przeciwnie, jego ekipy dzień i noc pracowały nad likwidacją posuchy. Po tych wstępnych trudnościach współpraca obu najważniejszych partnerów akcji „Biłgoraj" nabrała jakby tempa, a może nawet serdeczności, potwierdzając znaną prawdę, że wspólne cele zbliżają. Ostatecznie PZDL-owi zależy na OHP, a Komenda nie taka ograniczona, aby lekceważyć wyjątkowo w końcu rzetelnego kontrahenta, którego oferta gwarantuje organizacji sukcesy faktyczne i statystyczne. W gdańskiej akcji „Petrol 73", której patronuje „Sztandar Młodych", bierze udział tylko 400 junaków, a u nas?!

Godzina 6: służby gospodarcze podają śniadanie, przyrządzone przez junaczki z Technikum Gastronomicznego w Mławie pod kierunkiem Marii Kędziory, starszej pani z Żulina w powiecie krasnostawskim, która już jedenaste lato towarzyszy hufcom. „Byłam w Rejowcu, Pawłowie, Grabowcu, Kamiennej Górze i już nie wiem, gdzie jeszcze... W kuchni mam wszystko, co potrzeba: kuchnie węglowe, stoły, garnki, nawet elektryczną patelnię i lodówkę. A niedawno to trzeba było gotować w kuchniach polowych, mięso chowało się, aby nie zaśmierdło, w dołkach leśnych nakrytych pokrzywami. Dziś zimno, więc dałam kiełbasę na gorąco, choć miało nie być takiej. Gdzie śpię? W namiocie, z dziewczynkami, trzy córeczki mojej siostry są ze mną, tak, w hufcu. Jest dobrze, nie jest źle, nie ma biedy, nawet zaopatrzenie niezłe." W takich oto warunkach kształtują się samorodne talenty agitatorów.

Hufce śniadają przy długich drewnianych stołach, wspartych ławami, a przykrytych dachem z eternitu. Ta stołówka może przyjąć około 400 konsumentów —

Dokończenie na str. 6

teatrnn.pl

1 września mija 29 rocznica napaści hitlerowskiej na Polskę. Pomnik w Mirczach w pow. hrubieszowskim, którego autorem jest Marian Świet, to wyraz hołdu całego narodu dla ofiar drugiej wojny światowej.

# KULTURA 1973

## Literatura

* Pierwszą nagrodę imienia Conrada za twórczość literacką otrzymał Józef Miłobędzki za książkę „Conrad w żeglarskiej kurcie", drugą Lech Niekrasz za „Pilot tańczy na redzie". Za twórczość dziennikarską nagrodę otrzymał zespół telewizji gdańskiej opracowujący cykliczne audycje pt. „Latający Holender".

* Za całokształt twórczości literackiej, a szczególnie za powieść „Szkarłatna godzina" (o młodzieży z Piotrkowa Trybunalskiego), poeta, powieściopisarz i eseista Tadeusz Chróścielewski otrzymał nagrodę literacką Łodzi.

* W III ogólnopolskim konkursie literackim o „Bieszczadzki laur", zorganizowanym przez KKMP w Rzeszowie, pierwszej nagrody nie przyznano, drugą otrzymali: Izabella Koniusz z Zielonej Góry oraz Zbigniew Grochowski z Przemyśla.

* Archiwum diecezji warmińskiej wzbogaciło się o odnaleziony rękopis utworu Ignacego Krasickiego „Prawdziwa powieść o kamienicy narożnej w Kukurowcach", znanego dotąd z pierwodruku — jak się okazuje niezbyt dokładnego.

* Nakładem Iskier ukazał się tom opowiadań białoruskiego prozaika i publicysty Sokrata Janowicza pt. „Wielkie miasto Białystok".

* W tym roku w NRD ukażą się tłumaczenia: „Wybór wierszy" Szymborskiej, opowiadania Wilhelma Szewczyka oraz powieści Bogdana Wojdowskiego „Chleb rzucony umarłym" i Moniki Warneńskiej „Ścieżki przez dżunglę".

* W USA opublikowano szereg nie znanych dotąd utworów Jacka Londona — wiersze, krótkie opowiadania fantastyczne, nowele oraz dziennik podróży z czasów jego pieszych wędrówek z armią bezrobotnych do Waszyngtonu, a wkrótce ukaże się trzyaktowy dramat pt. „Wojna" oraz komedia muzyczna „Babilonia" napisana we współpracy z innymi autorami.

## Teatr

* Po przerwie wakacyjnej na scenie kameralnej Teatru Polskiego w Warszawie można zobaczyć „Upiory" Ibsena z E. Barszczewską w roli głównej.

* W Teatrze Polskim we Wrocławiu odbyła się prapremiera sztuki Eugene Ionesco „Gra w zabijanego" w inscenizacji i reżyserii Henryka Tomaszewskiego. Spektakl uznano za duży sukces Tomaszewskiego na scenie dramatycznej.

* Ukazujący się w NRD miesięcznik „Theater der Zeit" poświęcił duży artykuł sylwetce naszego aktora, Zbigniewa Zapasiewicza. Zamieszczono także recenzję z przedstawienia krakowskich „Dziadów".

* W dniach 11—14 września odbędzie się w Salzburgu międzynarodowa konferencja teatrologiczna. Jej tematem będzie „Reżyseria w dokumentacji, badaniach i nauce". Impreza organizowana jest dla uczczenia stulecia urodzin Maxa Reinhardta.

## Sztuka

* Znana pracownia witrażowa w Toruniu przygotowuje witraże dla Zamku Królewskiego w Warszawie według projektów Anny i Jerzego Orłowskich.

* Alfons Karny, rzeźbiarz urodzony w Białymstoku, otrzymał nagrodę miesięcznika „Kontrasty".

* 220 rzeźbiarzy-amatorów nadesłało 572 prace na ogólnopolski konkurs na rzeźbę ludową o tematyce kopernikowskiej. Pierwszą nagrodę przyznano J. Gozdeckiemu z woj. kieleckiego, drugą S. Korpie z woj. łódzkiego.

* W rejonie ulic Hibnera i Słowackiego w Rzeszowie odkryto podziemne kurytarze w bardzo dobrym stanie, pochodzące z XVII w.

* W Szczecinie odbyła się wystawa prac malarki meksykańskiej Evy Pinedy de Arduengo, poświęconych Kopernikowi.

* Miesięcznik „Bildende Kunst", wydawany przez Związek Artystów Plastyków w NRD, cały numer poświęcił współczesnej plastyce polskiej.

## Muzyka

* Krzysztof Penderecki otrzymał od Chicago Lyric Opera zamówienie na nową operę, która ma być wystawiona w 1976 roku z okazji 200-lecia ogłoszenia deklaracji o niepodległości USA.

* Wrocławski kompozytor Ryszard Bukowski napisał operę pt. „Pierścień wielkiej damy" według sztuki C. K. Norwida. Libretto opracowała Maria Strzeszewska. Prapremiera ma się odbyć w lutym.

* W ciągu czterech dni, od 23 do 26 sierpnia, odbył się w Dusznikach kolejny festiwal chopinowski. Obok dziesięciu koncertów głównych z udziałem artystów polskich i zagranicznych, zorganizowano szereg imprez towarzyszących.

* Doroczny festiwal Warszawska Jesień odbędzie się w dniach od 22 do 29 września.

* Jedenaście zespołów krajowych i zagranicznych weźmie udział w tegorocznym festiwalu oratoryjno-kantatowym Vratislavia cantans, który odbędzie się we Wrocławiu od 31 sierpnia do 5 września.

* W nowym amfiteatrze w Koszalinie odbył się II festiwal chórów polonijnych. Wystąpiło 11 zespołów z 5 państw.

* Na konkursie śpiewaczym w Rio de Janeiro solistka Teatru Wielkiego z Łodzi, Kira Andrea Płonczyńska, zdobyła piąte miejsce wśród 68 uczestników.

* Na wielu scenach radzieckich wystawiana jest sztuka śpiewana, będąca adaptacją znanego poematu Aleksandra Twardowskiego „Wasyli Tiorkin". Libretto napisała P. Gradowa do muzyki A. Nowikowa.

* 63 koncerty w 13 salach złożyły się na festiwal jazzowy w Nowym Jorku. Był to popis „starej gwardii" jazzu, a jedynym „objawieniem" był ośmioosobowy zespół Lightman Plus One z Houston.

## Film

* Jak wynika z ankiety Ośrodka Badania Opinii Publicznej Polskiego Radia i Telewizji, tylko 14 proc. telewidzów w filmach miłosnych preferuje jako główny wątek seks (znacznie więcej wśród młodych telewidzów). „Nagie" sceny w filmach budzą sprzeciw 47 proc. widzów w wieku powyżej 50 lat i 42 proc. wszystkich telewidzów ze wsi. Najsilniej potępiano wątki traktujące o przestępstwach, kradzieżach, oszustwach, sceny okrucieństw, tortur i zabijania, kuszący widok bogactw i dopiero następnie zdrady małżeńskie.

* Na VII Międzynarodowym Festiwalu w Moskwie główne nagrody zdobyły filmy: radziecki „To słodkie słowo — wolność", amerykański „Taka jest Oklahoma" i bułgarski „Miłość". Srebrne medale otrzymały filmy polskie: fabularny „Kopernik" Ewy i Czesława Petelskich oraz Janusza Nasfetera dla dzieci „Ten okrutny, nikczemny chłopak".

* W Pradze zakończono realizację filmu pt. „Świadek epoki" — jest to pełnometrażowe dzieło o Juliuszu Fuczíku, w związku z 70 rocznicą urodzin i 30 rocznicą śmierci autora „Reportażu spod szubienicy".

* Po prawie 5 latach spoczywania na półkach, wyświetlony został we francuskiej telewizji czteroodcinkowy film „Księżna d'Avila" reżysera Philippe Ducresta, będący adaptacją ekranową „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Jana Potockiego. Przed kilku laty wyświetlano u nas adaptację W. Hasa w wersji dla kin.

* Wytwórnia Walt Disney Productions Inc. obchodzi 50-lecie istnienia. Przez dwa pierwsze lata Disney (zmarł w 1966 r.) robił swoje filmy sam w małym garażu.

* „Szczerze mówiąc, nie jestem zadowolona ze swego filmowego dorobku. Nie zagrałam jeszcze roli, z której mogłabym być naprawdę dumna" — powiedziała Gina Lollobrigida podczas pobytu w Moskwie, gdzie była jurorką festiwalu.

## Różne

* Po kilkakrotnym odraczaniu terminów, spowodowanym koniecznością przekwaterowania różnych instytucji, rozpoczęto wreszcie na Polu Mokotowskim w Warszawie prace przy budowie gmachu Biblioteki Narodowej. Całość ma być ukończona w 1979 roku, ale magazyn na 5 mln książek (Biblioteka ma ich obecnie 3 mln, a w ciągu roku przybywa 100 tys.) będzie gotowy w 1975 roku, jednocześnie z czytelnią na 800 osób.

* Władze województwa rzeszowskiego zabiegają o utworzenie międzynarodowego rezerwatu przyrody w Bieszczadach na styku granic Polski, ZSRR i Czechosłowacji. Połowa rezerwatu, tj. około 18 km kwadr., mieściłaby się na terenie Polski.

* Jak dotychczas około 140 polskich zespołów prezentowało dorobek polskiej dramaturgii i muzyki na scenach i estradach NRD. Dla odmiany my gościliśmy około 100 zespołów zza Odry.

## Lubliniana

* Tegoroczne lato jest bardzo pracowite dla naszych archeologów. Prowadzi się badania w powiecie hrubieszowskim, na rynku w Kazimierzu, we wsi Zgórzyńskie koło Wawolnicy, w Sadurkach i innych miejscowościach. Sezon wykopaliskowy zakończy się we wrześniu.

* Do końca września czynna jest w Muzeum Okręgowym na Zamku w Lublinie wystawa „Mikołaj Kopernik w numizmatyce i medalierstwie" — po raz pierwszy pokazano wiele eksponatów z własnych zbiorów. Dobrym uzupełnieniem jest informator, opracowany przez Henryka Wojtulewicza.

* Stowarzyszenie Historyków Sztuki oraz redakcja „Kuriera Lubelskiego" prowadzą akcję zbierania metali kolorowych, potrzebnych na odlanie dzwonów dla Zamku Królewskiego w stolicy.

* Do rejestru zabytków wpisano w ostatnim okresie układy urbanistyczne 24 miejscowości w województwie, planuje się wpisanie dalszych.

Kamena str. 2

# Świat, w którym żyjemy

## UCIEKAJĄCY PUŁAP

CODZIENNIE drożej, a pułap wciąż ucieka — tak w wolnym tłumaczeniu trzeba rozumieć tytuł artykułu, który ukazał się w tygodniku angielskim „The Economist" na temat stałej zwyżki cen podstawowych surowców na rynkach państw kapitalistycznych. Kiedy wydaje się, że najwyższy możliwy pułap cen został już osiągnięty — następuje nowa podwyżka.

W ciągu ostatniego roku przeciętna podwyżka surowców wyniosła 100 procent, z tego w ostatnim półroczu 37 procent. Wełna importowana do Francji stała się wielkim luksusem — jej cena wzrosła w ciągu jednego tylko roku o 226 proc. W tym samym czasie cena soi skoczyła pięciokrotnie. W rezultacie fabrykanci wciąż zwiększają dodatkowe zapasy i właściwie trudno powiedzieć, czy chodzi im tylko o spekulację, czy też jest to działanie, mające zapobiegać zwyżkom.

W London Metal Exchange, tej świątyni dyskretnej i zakazanej dla fotografów, nic nie wpływa na uspokojenie gorączki. Nawet zakończenie strajku w największej kopalni miedzi na świecie, chilijskiej El Teniente, nie zahamowało drożenia tego cennego metalu. W czerwcu USA sprzedały na rynku angielskim 1500 ton cyny i zapowiedziały, że każdego następnego miesiąca sprzedadzą po 800 ton. Mimo to tona cyny osiągnęła wartość 1934 funtów szterlingów, jak nigdy dotąd. Mówi się, że to w przewidywaniu dużego zapotrzebowania w skutek znacznego zwiększenia transportu w kontenerach, robionych z metali pobielanych cyną.

Tegoroczne zbiory zbóż na świecie ocenia się na 300 milionów ton — 20 milionów ton mniej, niż w zeszłym roku. Nic dziwnego więc, że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy cena zboża na rynku w Chicago wzrosła z 66 do 110 dolarów za tonę. Wprawdzie w lutym i w marcu spadła do 85 dolarów, ale teraz znów rośnie. Kakao w ciągu półtora roku zdrożało półtora raza. Aby utrzymać niskie ceny, rząd amerykański w ciągu 23 lat wypłacił farmerom 4,3 mld dolarów subwencji. Niewiele pomogło. W okresie ostatniego roku konsumenci za produkty zbożowe muszą płacić dwa razy więcej.

## SEKSUALIZM W SZKOŁACH

GŁOŚNA przed kilku laty ankieta we Francji wykazała, że 82 proc. młodzieży nigdy nie rozmawiało ze swoimi rodzicami na tematy seksualne. Nic dziwnego, że minister oświaty Joseph Fontanet zapowiedział, iż w rozpoczynającym się roku szkolnym zagadnienia te wejdą do programu szkolnego.

Jak donosi tygodnik „L'Express", w tym roku program ten będzie realizowany w klasach piątych i szóstych szkół średnich, w roku przyszłym w czwartych i trzecich. W ramach biologii będą to informacje o płodzeniu i wydawaniu na świat dzieci. Pomocami naukowymi będą szkice i tablice anatomiczne. W wyższych klasach omówione zostaną różnice pomiędzy narządami płciowymi męskimi i żeńskimi wszystkich stworzeń, w tym człowieka. Będą to „neutralne informacje seksualne", z pominięciem zagadnień moralnych i filozoficznych.

Problemy seksualne w ścisłym tego słowa znaczeniu minister przekazał w ręce rodziców — mogą oni, za zgodą nauczyciela, zaprosić lekarzy i psychologów na dyskusje, jak się to już praktykuje w niektórych liceach.

Nauczyciele biologii jednak twierdzą, że nie są do takich lekcji przygotowani i będą musieli improwizować, ponieważ przez pierwszy okres nie będzie jeszcze podręczników. Nauczyciele mimo to muszą być przygotowani na pytania, dotyczące usuwania płodu oraz stosowania środków antykoncepcyjnych — i na te pytania odpowiedzieć obiektywnie a zrozumiale.

## POSZUKIWACZE

DEGRENGOLADA dolara spowodowała, że w zachodniej części Stanów Zjednoczonych — jak donosi tamtejsza prasa lokalna — rozpoczął się nowy okres dla poszukiwaczy złota. Otwiera się znów kopalnie tego metalu, zamknięte jeszcze w początkach bieżącego stulecia, gdyż wtedy stały się one już nieopłacalne. Koniuktura na złoto spowodowała, że znów za kulisami rozpoczynają się zabiegi i spekulacje celem otrzymania koncesji na poszukiwania. Ale chyba już nie wróci dawny folklor, gdy poszukiwacze rzucali na kontuary znalezione sztuki złota, aby otrzymać kufel piwa. Współcześni poszukiwacze są wyposażeni w najnowszy sprzęt techniczny i narzekają tylko wędkarze, którzy nie mogą już znaleźć spokojnej rzeki.

Za złoto płaci się dziś niemal dwa razy więcej niż to określają ceny oficjalne w krajach kapitalistycznych. Głównymi odbiorcami są jubilerzy, dentyści i niektórzy przemysłowcy, ich łączne zapotrzebowanie w USA wynosi rocznie 6—8 ton. W Montanie wydawano dotąd 75 koncesji rocznie, w tym roku już 500. Golden Cycle Corp. w Colorado przeznacza 6 mln dolarów na uruchomienie kopalń, zamkniętych w 1961 roku. Spekulacja jednak dopiero się zaczyna. Nic dziwnego, że do władz federalnych wpłynął projekt ustawy, ograniczającej posiadanie złota przez osoby prywatne.

## FALE GRAWITACYJNE

CZY istnieją fale grawitacyjne, dzięki którym nasz wszechświat utrzymuje się w porządku, ustalonym przed miliardami lat? Przed kilku laty astronom amerykański Józef Weber skonstruował aparat, który — jak twierdził — zarejestrował istnienie takich właśnie fal.

Na jednym z sympozjów fizyków, które odbyło się niedawno w Paryżu, podsumowano wyniki badań na ten temat. Jak się okazuje, „cylindry Webera" zbudowano w kilku krajach — Związku Radzieckim, Stanach Zjednoczonych, Francji, Włoszech i NRF. Każdy z tych aparatów — radziecki został ulepszony — wykazał istnienie jakichś nie zidentyfikowanych fal. Jednak porównanie siły i okresu występowania ich w żadnym stopniu nie odpowiadają teoretycznym możliwościom istnienia fal grawitacyjnych. Zapisy są bowiem zupełnie różne w chwilach, gdy „cylindry" są skierowane w sam środek naszej galaktyki, skąd — logicznie biorąc — powinny przybywać na ziemię najsilniejsze fale grawitacyjne.

Uczeni jednak nie twierdzą, że spostrzeżenia Webera są nieprawdziwe. Bo wprawdzie nic ich nie potwierdza, ale i nic im nie zaprzecza. Tak więc sprawa grawitacji pozostaje nadal zagadką.

## GDY ZNISZCZYMY OZON...

RÓWNOWAGA biologiczna na ziemi w dużej mierze zależy od warstwy ozonu, która otacza Ziemię na wysokości od 12 do 40 km. Ozon właśnie zatrzymuje promienie ultrafioletowe wydzielane przez Słońce. A te promienie w dużej koncentracji są niebezpieczne: niszczą proteiny, wstrzymują podział komórek, powodują zmiany genetyczne. Zdaniem profesora uniwersytetu amerykańskiego w Berkeley, Harolda Johnstona, 500 samolotów o szybkości ponaddźwiękowej, z których każdy będzie latał siedem godzin dziennie, w ciągu roku zniszczą połowę ozonu, otaczającego Ziemię. A tymczasem, jak wynika ze sporządzonej osobno analizy grupy ekspertów, zmniejszenie ilości ozonu tylko o 5 procent zwiększy o 26 procent ilość promieni ultrafioletowych, docierających na Ziemię. Wśród 200 milionów ludzi ponad 8 tysięcy dostanie raka skóry. Obniżenie ilości ozonu o połowę zwiększy dziesięciokrotnie radiację. Oczy ludzi i zwierząt wyższego rzędu zostaną spalone. Większość roślin uprawnych ulegnie zniszczeniu, zwiększy się wielokrotnie ilość deformacji genetycznych.

Zdaniem prof. Johnstona sprawcą takiej katastrofy będą tlenki azotu, wydobywające się z dysz samolotów ponaddźwiękowych. Atmosfera jest oczyszczana przez wiatry i opady. Ale w stratosferze panuje spokój, tlenki azotu gromadzą się bez przeszkód, zamieniają ozon w zwykły tlen, same nie ulegając zmianie i powodując reakcje chemiczne.

## POGRZEBY ROZWODNIKÓW

KONGREGACJA dla spraw doktryny katolickiej wydała, za aprobatą papieża Pawła VI, list w sprawie pogrzebów religijnych osób „znajdujących się w nie uregulowanej sytuacji małżeńskiej", a podpisany przez kardynała Sepera. Chodzi o katolików, którzy po otrzymaniu tylko rozwodu cywilnego zawarli ponowny związek małżeński. Jak dotychczas, w kościele katolickim takim osobom odmawiano pogrzebu religijnego.

Nowe przepisy — zapewnia kardynał — będą wprowadzone możliwie najszybciej. Pogrzeb religijny nie będzie zabroniony wiernym, którzy w chwili śmierci mieli nie uregulowany związek małżeński, ale wykazywali przywiązanie do kościoła, dali za życia jakieś dowody skruchy, i jeżeli taki pogrzeb nie wywoła skandalu u innych wiernych.

# Od Sielc do Lublina — od Morcinka do Czechowicza

**NAZWISKO Józefa Niemczyńskiego znane jest miłośnikom literatury polskiej w Związku Radzieckim. Ma on w dorobku wiele tłumaczeń utworów 16 polskich pisarzy, poczynając od klasyków: Słowackiego, Sienkiewicza, Prusa, Konopnickiej i Reymonta, a kończąc na publikacjach pisarzy współczesnych — Dobrowolskiego, Fiedlera, Hena, Ożogowskiej, Putramenta, Warneńskiej, Żukrowskiego i in. Tłumaczy nie tylko utwory beletrystyczne i literaturę faktu, lecz również artykuły polskich pisarzy dla prasy radzieckiej. Z goszczącym niedawno w Polsce Józefem Niemczyńskim rozmawiał dziennikarz PAP.**

— Przetłumaczył pan wiele książek z literatury polskiej; nowela Sienkiewicza „Orso" w pana przekładzie osiągnęła imponujący nakład miliona egzemplarzy, zaś „Dni klęski" Żukrowskiego — 150 tys. egzemplarzy. Czy mógłby pan powiedzieć, jakie były i skąd się wywodzą pana związki z Polską?

— To bardzo proste: pochodzę z polskiej rodziny. Dziad mój walczył w powstaniu styczniowym. Literaturą interesowałem się już w młodości — przed wojną ukończyłem wydział literacki leningradzkiego Instytutu Historii Filozofii i Literatury. Pierwsze moje próby pisarskie przerwała wojna. Od roku 1943 działałem w Związku Patriotów Polskich, a następnie z I Dywizją im. Tadeusza Kościuszki, z kolei zaś z I Armią przeszedłem szlak bojowy od Sielc do Lublina. Brałem również udział w wyzwoleniu Majdanka.

— Co było dalej?

— Lata 1944—1947 spędziłem w Polsce. Pamiętam, kiedy przekroczyliśmy Bug, dałem rozkaz moim żołnierzom, by śpiewali „Rotę". Chłopi wylegli na brzeg i płakali, widząc wojsko polskie. Już po wojnie, w czasie walk z bandami UPA, kiedy brałem udział w ściganiu zabójców gen. Świerczewskiego, odniosłem trzy poważne kontuzje.

— Kiedy zainteresował się pan pracą translatorską?

— Po leczeniu w Moskwie zostałem zdemobilizowany, wtedy właśnie zająłem się popularyzacją polskiej literatury. Zaczęło mnie to wciągać. Najpierw były audycje radiowe i odczyty, potem brałem udział w wydaniu tomu „W stulecie noweli polskiej". Niebawem ukazała się też pierwsza polska książka w moim przekładzie — „Kataryniarz" Gustawa Morcinka, a po niej przyszły następne.

— Co pan ma obecnie na warsztacie?

— W tym roku wyjdą w Związku Radzieckim „Miliarderzy" Jaszuńskiego, „Bajka o królu słońcu i jego czterech córkach" — Bobińskiego oraz reportaż z Sajgonu Warneńskiej. Pracuję nad książką Głąbińskiego „Ameryka patrzy na Chiny", nad książką Czechowicza „Siedem trudnych lat" i nad tomem Warneńskiej „Ścieżki przez dżunglę".

— Jak wygląda sprawa popularyzacji literatury polskiej w Związku Radzieckim?

— Zainteresowanie polską książką jest u nas bardzo duże i datuje się od wielu dziesięcioleci, kiedy to zachwycano się utworami pisarzy pozytywizmu polskiego. Jednakże po drugiej wojnie światowej zainteresowanie to znacznie wzrosło. Zbiór reportaży Żukrowskiego „Trzy tysiące kilometrów po Wietnamie", wydany przez „Prawdę" w nakładzie 150 tys. egzemplarzy, został rozchwytany dosłownie w ciągu kilku godzin. Podobnie tom wydawnictwa „Młoda gwardia" pt. „Młode pokolenie Polaków" rozszedł się błyskawicznie.

Najchętniej czytane są książki współczesnych poetów i prozaików, w nich bowiem czytelnik radziecki szuka wiedzy o sukcesach i życiu codziennym socjalistycznej Polski. Ogromną popularnością cieszy się również literatura faktu. Nie znaczy to oczywiście, że klasyka jest mniej popularna.

Polskich książek wydaje się w Związku Radzieckim dużo, ale, moim zdaniem, trzeba koniecznie wzbogacić listę nazwisk. Warto, aby czytelnicy radzieccy zapoznali się z utworami wielu młodych autorów polskich.

Rozmawiała
**Wanda Wielonkiewicz-Dobrzyńska**

# MIĘSO

Maciej Podgórski

CORAZ bardziej blednie i oddala się obraz konwencjonalnego rzeźnika. Królujące w ponurej jatce zwaliste chłopisko, od stóp do głów zbrukane juchą, w owłosionej grabie dzierżące straszliwy topór. Może taka postać zatrudnia się jako duch w mrocznych komnatach Powiatowego Domu Kultury w Łukowie, gdzie podobno nocami ktoś sprzętem kulturalno-oświatowym łomoce, po przegniłych podłogach ciężko stąpa, czyli najwyraźniej straszy, co, widać, i w naszych czasach zdarza się w budowlach starych i zapuszczonych, od dawna o remoncik wołających. W każdym razie w halach ubojowych Łukowskich Zakładów Mięsnych postać owego rzeźnika raczej nie miałaby nic do roboty, zaś w niektórych pomieszczeniach fabryki mięsa mógłby nawet tańczyć i śpiewać aseptyczny i eteryczny Tadeusz Ros: słońce w kapeluszu, słońce w kapeluszu, słońce w kapeluszu.

Tak zwane ogólne wrażenie? Choć zasadnicze obiekty fabryki już zbudowane oraz wyposażone w urządzenia i choć już w początkach roku ruszył ubój trzody i bydła, a teraz ruszyły działy przetwórcze — ciągle jeszcze coś się tutaj poprawia, uzupełnia, szoruje, glansuje do połysku i do białości, a czasem aż do białego dnia. To dobrze czy źle? Przede wszystkim bardzo dobrze, aczkolwiek nie we wszystkim... Kolejne ogólne wrażenie z tego, co już się tam wyłoniło? Też bardzo dobre. Wysokie, przeszklone niemal do sufitu, hale produkcyjne. Parterowe, żeby nie było przecieków w stropach, bo tu dużo się pracuje w kontakcie z wodą. Błyszczący metal — nierdzewny i kwasoodporny — urządzeń produkcyjnych, umywalek, drzwi do hal. Białe kitle i białe kaski ochronne załogi. Załoga bardzo młoda. Ale nawet najogólniejsze wrażenia nie dają pojęcia o wielkości tej fabryki, obecnie jednej z największych w kraju pod względem zdolności produkcyjnych i jednej z nowocześniejszych. Więc może tak: linia ubojowa trzody chlewnej ma zdolność ubicia około 1 700 sztuk dziennie w systemie dwuzmianowym, czyli w efekcie dostarczenia tych 1 700 sztuk w postaci oczyszczonych półtusz — to jest wagi bitej ciepłej — po przechłodzeniu gotowych do rozbioru na mięso konfekcjonowane lub do dalszego przetwórstwa na wędliny i konserwy mięsne. Kiedy w pełni ruszą wszystkie działy przetwórcze, wtedy to będzie prawdziwy kombinat.

Jest tam bocznica i rampy. Lokomotywa fabryczna. Stanowiska lekarskie badania przedubojowego, skąd sztuki podejrzane o chorobę wędrują do odrębnej rzeźni sanitarnej. Magazyny żywca, gdzie zwierzęta przynajmniej na sześć godzin przed ubojem przechodzą głodówkę i wypoczynek dla polepszenia regeneracji cukru w mięśniach. Dwie linie ubojowe, zmechanizowane, wyposażone w polskie urządzenia, a szczególnie doskonałą klimatyzację, mającą znaczenie nie tylko dla załogi, ale również dla jakości mięsa. Chłodnie składowe półtusz, gdzie nadwyżki ubojowe mogą leżeć do roku, co uniezależnia działy przetwórcze fabryki od sezonowej nierytmiczności dostaw żywca. Magazyn konserwacji skór. Jeliciarnia, wyrabiająca osłonki dla kiełbas. Potężny dział rozbierania i wykrawania mięsa. Oddział produkcji mączek pastewnych z kości, krwi przemysłowej i odpadów mięsa. Smalcownia. Topialnia łoju. Peklownia. Wędliniarnia. Szynkownia i konserwiarnia. W działach przetwórczych — nowoczesne urządzenia importowane z Danii, Holandii, Węgier, NRF.

Więc rzeczywiście cały samodzielny kombinat, przy którym blednie i oddala się już nie tylko obraz konwencjonalnego rzeźnika, ale również obraz konwencjonalnego masarza, jakiś może GS-owski widoczek czerwonolicego pyknika z potężną grabą na wielkiej maszynce do mielenia mięsa. Uderza kompleksowość, samowystarczalność fabryki, gdzie każda cząstka surowca jest wykorzystana i zagospodarowana, choćby trzustka, gruczoł, który, żeby mógł być przesłany do innego zakładu dla produkcji insuliny, musi być natychmiast po wycięciu zamrożony, bo inaczej nie nadaje się do wytwarzania leku. Takiej kompleksowości produkcji i takiego wykorzystania surowca nie osiągnie się w małych rzeźniach i masarniach, ani tym bardziej w domowym uboju chłopskim, gdzie straty w szaflikowym przechowalnictwie i wykorzystaniu mięsa są znaczne.

Ale tu by może głównie szło o inne straty, w szerszej skali, którym zapobiegnie łukowska fabryka. Im dłużej się wiezie zwierzęta ze skupu do zakładu mięsnego, tym więcej tracą one na wadze i tym częściej padają. A że obie główne fabryki mięsa na Lubelszczyźnie — Lublin i Zamość — od dawna dyszą już sił ostatkiem i nie są zdolne przerobić całej wojewódzkiej produkcji żywca, więc do tej pory nadwyżki żywca lubelskiego transportowano do innych rzeźni i przetwórni, a średni promień transportu wynosił 450 km. Zaplecze surowcowe łukowskiej fabryki to powiaty: Biała Podlaska, Łuków, Parczew, Radzyń, Włodawa, a średni promień transportu — 60 km i znacznie mniejsze ubytki w porównaniu z przerzutem. Do tego rachunku nie potrzeba nawet elektronicznych obliczeń optymalizacji zagospodarowania żywca, które w naszym przemyśle mięsnym zaczynają być stosowane.

Ta prosta w gruncie rzeczy kalkulacja zadecydowała o lokalizacji fabryki mięsa właśnie w Łukowie. Do 1975 roku może to wystarczy, ale po tym terminie przewidywane nadwyżki trzody chlewnej w województwie zaczną rosnąć i nawet Łuków nie podoła, trzeba będzie pomyśleć o nowym zakładzie mięsnym.

Łuków zwiększy zdolności produkcyjne przemysłu mięsnego Lubelszczyzny o blisko połowę i choć cały czas w produkcji trzody będziemy województwem nadwyżkowym w stosunku do możliwości przerobowych, fabryka łukowska odciąży sfatygowane zakłady: Lublin, Zamość, choćby na okres ich koniecznego remontu i modernizacji, głównie zaplecza chłodniczego i energetyki; a może wtedy z Zakładów Mięsnych w Lublinie znikną dwa archetypiczne parowozy jako źródła pary dla zakładu.

Co natomiast Łuków bezpośrednio da konsumentom? Przede wszystkim zwiększenie asortymentu i polepszenie jakości wyrobów. Będzie się tam produkować pełny wybór wędlin — około 40 gatunków — oraz około 25 rodzajów konsew. Przewiduje się produkcję konfekcjonowaną mięsa i wędlin — gotowe porcje o rozmaitej wielkości i gatunku.

Od czego zależy jakość wyrobów? Ano od wielu spraw. Choćby od klimatyzacji, czyli utrzymania odpowiedniej temperatury i wilgotności powietrza w pomieszczeniach produkcyjnych, a już mówiłem, że klimatyzacja w fabryce łukowskiej to jedno z lepszych polskich rozwiązań tej kwestii. I jeszcze jakość wyrobów zależy od przestrzegania reżimu technologicznego, z czym wiążą się tak zwane jakości obiektywne produktów: zawartość białka, soli, wody — tak: wody! — przypraw, oraz tak zwane jakości subiektywne produktów: wygląd, smak, zapach. A nad wszelkimi tymi jakościami czuwa laboratorium kontrolne fabryki, które — jeśli idzie o zakład łukowski — ma być najpiękniejsze w kraju. Nad przygotowaniem zaś kadry oraz zaprogramowaniem wyposażenia dla łukowskiego laboratorium czuwa — pleno titulo — Rejonowe Laboratorium Kontrolne Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Lublinie, które to Laboratorium Rejonowe samo wprawdzie najlepszych warunków lokalowych nie posiada, ale wie, co do niego należy. A należy doń między innymi codzienna ocena wędlin pod kątem ich barwy, konsystencji, ściągnistości, równomierności wędzenia, czyli cała organoleptyka, nie mówiąc już o całej chemii i całej mikrobiologii.

Miejmy tylko nadzieję, że w łukowskich nowoczesnych warunkach produkcyjnych rozwieje się ów cały mrok, jaki czasem zalega między teoretycznymi wymaganiami ocen laboratoryjnych a praktycznymi koniecznościami i możliwościami bieżącej produkcji, które zresztą są uwarunkowane i tym, żeśmy się na przykład przyzwyczaili konsumować wędliny oraz mięso głównie w soboty i niedziele, co na rytmiczność produkcji wpływać musi. I co stwarza szczególne kłopoty zakładom mniejszym niż łukowski i starszym niż łukowski.

Powstawałoby tu jeszcze jedno pytanie: od czego, poza nowoczesnymi maszynami i nowoczesną technologią, zależą nowoczesne warunki produkcyjne? Raczej jasne, że również od warunków sanitarnych zakładu, czego zresztą od technologii i maszyn oderwać nie sposób. Nie byłoby chyba tej sprawy, która mnie naprowadziła na sprawę szerszą, gdybym, będąc w Łukowie, nie wpadł w ręce ludzi z Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii, urządzających w fabryce placówkę Weterynaryjnego Inspektoratu Sanitarnego, jeden z organów kontroli produkcji w takim zakładzie.

I może dobrze się stało, iż tak się stało, choć oni mnie dosłownie porwali i pokazali parę rzeczy, niekoniecznie krzepiących, aczkolwiek do usunięcia i zresztą na bieżąco usuwanych. Przykładowo. Że umywalki piękne, ale niekiedy jeszcze niesprawne. Że brak należytego wyposażenia stanowisk badania przedubojowego, a myjnia przedubojowa wciąż nieczynna. Że przeciekają okna w halach, a doskonała klimatyzacja na liniach ubojowych nieczynna, bo projektant przewidział kabel o zbyt małym przekroju i po podłączeniu prądu instalacja wysiada. Że w hali uboju bydła stoi ogromny pień drewniany do wyrębu głów, a nowoczesna technologia zakazuje jakichkolwiek elementów drewnianych w takim zakładzie.

Przedstawiciele Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii orzekli jednak: „Wszystko to nie są usterki ciężkiego kalibru i można je usunąć, byle szybciej. I my byśmy się nawet tak nie gorączkowali, gdyby szło o jakąś zwykłą rzeźnię, ale to przecież piękny, nowoczesny zakład, zaprojektowany i wykonany przez Polaków. Niech więc będzie jak najpiękniejszy i najnowocześniejszy w pełnym tego słowa znaczeniu!".

Gdybym był bardziej pracowity, to powinienem był napisać, jak dla zakładów łukowskich szkolono kadrę, jak przygotowywano pracowników fizycznych, jak pomyślano o znakomitym zapleczu socjalnym w fabryce oraz o budownictwie mieszkaniowym, co ściągnęło tutaj niejednego znakomitego fachowca. Zyskałbym wtedy kolejny argument, że fabryka ta nie była budowana bez myślenia perspektywicznego i rzetelnie gospodarnego. Ale wtedy też musiałbym zacytować odpowiedź na pytanie: co w Łukowie można robić po robocie? — „Można zrobić kielicha i karcięta we własnym gronie". I dla skomentowania tej odpowiedzi trzeba by mi było znowu zacząć mówić o kłopotach, tyle że nieco innej tym razem natury, kto wie, czy nawet nie szerszej, i jakby poza tematem produkcji mięsa.

Więc na koniec jedna kwestia tylko, a raczej odpowiedź na pewne pytanie, które nieodwołalnie nasunie się czytelnikowi. Otóż trudno chyba przypuścić, by zbudowanie fabryki mięsa, nawet tak dużej i nowoczesnej jak łukowska, wpłynęło generalnie i szybko na ilościowe zaopatrzenie rynku wewnętrznego. Może wpłynąć na asortyment, jakość i rytmiczność produkcji, może zaoszczędzić gospodarce narodowej sumy niebagatelne. Na kwestie natomiast ilościowego zaopatrzenia rynku ma zasadniczy wpływ przede wszystkim rozwój zaplecza surowcowego, czyli wzrost produkcji zwierzęcej w skali kraju, a szczególnie produkcji żywca wołowego. Ale rozwój zaplecza surowcowego nie jest uwarunkowany gołym faktem powstawania fabryk mięsa, lecz ogólną kulturą rolną i polityką cen skupu. I dopiero w tym układzie widać, jak zasadnicze znaczenie ma tutaj zeszłoroczna podwyżka cen skupu żywca wołowego i trzody chlewnej, a następnie tegoroczna podwyżka cen skupu cieląt i specjalnej jakości żywca wołowego. Dopiero ona bowiem może skutecznie zdynamizować produkcję zwierzęcą na wsi.

Trzeba się jednak liczyć z faktem, że to perspektywy realne wprawdzie i optymistyczne, ale przecież nie bezwarunkowo natychmiastowe. O ile bowiem na przykład dla fabryki łukowskiej prognozy do roku 1975 przewidują pełne pokrycie jej zapotrzebowania surowcowego w trzodzie a nawet zakładają pewną nadwyżkę wojewódzką żywca chlewnego, po roku 1975 rosnącą, o tyle te same prognozy przewidują z kolei niedobór zapotrzebowania surowcowego w bydle, który zacznie się już w tym roku i jest zresztą kwestią ogólnokrajową. Musimy poczekać, aż nowa polityka cen skupu zaowocuje pierwszymi poważniejszymi rezultatami we wzroście produkcji zwierzęcej i musimy w tym czasie budować fabryki mięsa, które by sukcesywnie rozpoczynały produkcję wraz ze wzrostem zaplecza surowcowego. Zakłady łukowskie, bliźniacze fabryki, rosnące w Ostrołęce i Koszalinie, importowane kombinaty, powstające w Ełku, Kole czy Sokołowie, są zapowiedzią tego procesu.

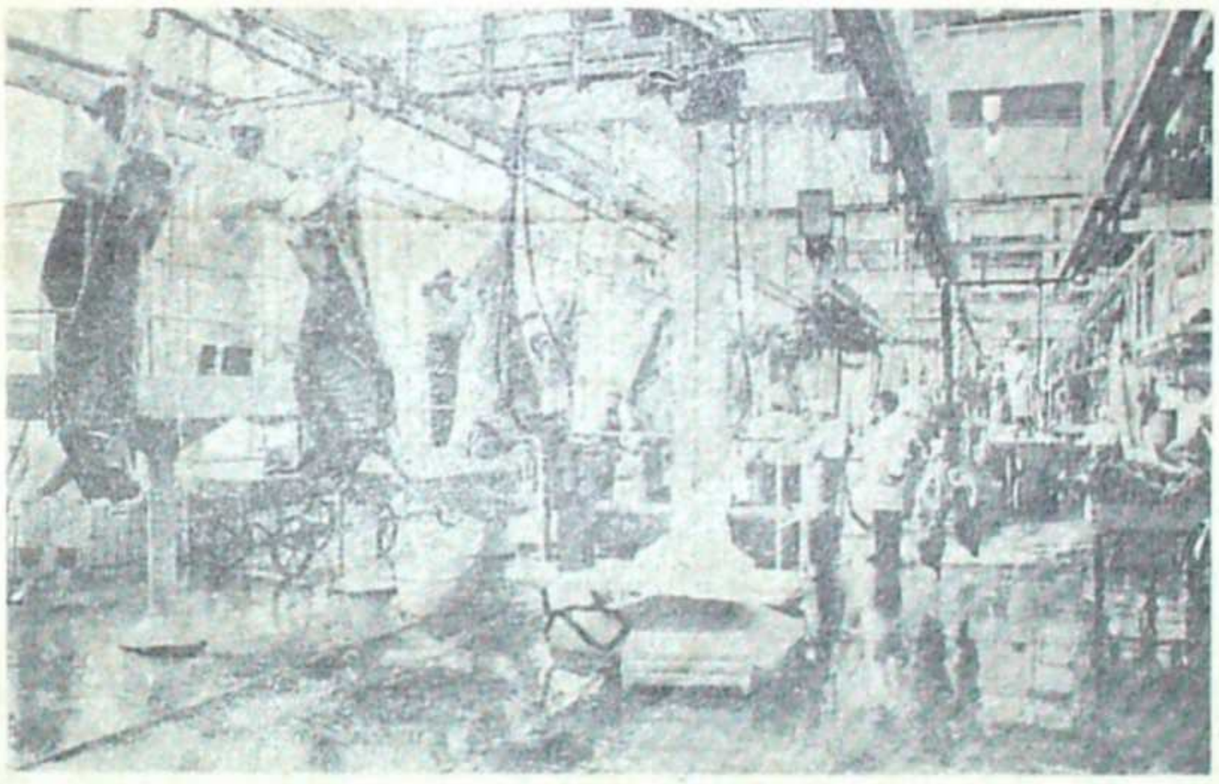

Fot. CAF

# Enklawa nad Nietupą

Feliks Z. Weremiej

PROKOPCZUK pochylił się nad burą kałużą i obmywa w niej błoto, przyschnięte do gumowych buciorów. Brzegi cholew wywinął podszewką na zewnątrz — pewnie dla elegancji albo wygody — chlapie wodą i mruczy śpiewnie:

— Kiepsko my trafili, dzisiaj wtorek, a we wtorki to oni, wiadomo, kłaniają się od świtu do południa. A kiedy kłaniają się, drzwi chałupy zapierają na dziesięć kołków. Wal, nie wal, za nic w świecie nie otworzą. Ot jak...

Deszcze przemieniły wąski pas nizinnej łąki w napęczniałe wodą grzęzawisko. Zielono-szare żaby urządzają na nim konkursy skoków, w bajorach roi się od pływających potworków, stare kretowiska rozpłaszczyły się od wilgoci. Dwa grube drągi, przerzucone przez leniwie płynącą strugę, sczerniałe i obrosłe śliskim szlamem, mają tubylcom służyć jako mostek. Za nami piaszczyste wzniesienie, porosłe jałowcem, przed nami łagodny stok wysoczyzny ze świerkowym lasem. Mokra nizina między nimi, to jakiś wybryk rozkapryszonej natury. Stoimy nad niemrawą strugą i bezczynnie gapimy się na zagrodę na tle świerkowego lasu. Kryty cynkowaną blachą dach niewielkiego, niskiego domu błyszczy w słońcu jak wielkie zwierciadło, zawieszone na ciemnej ścianie lasu, obok wybrzuszona obora i jakieś pokraczne kletnie, Całość otoczona płotem z byle jak poplątanych żerdzi, a na nim suszą się powsadzane na sztorc gliniane garnki, typowe, tutejsze „haładyszki". Za płotem, na podwórku wrzaskliwa czereda gęsi uwija się wokół wywróconego do góry dnem cebra.

Władysław umył swoje buciory, wytarł dłonie o portki i wyprostował się nad kałużą. Ogromne chłopisko, tak na oko, ze dwa metry wzrostu. Od kilku dni nie golona, okrągła gęba tchnie dobrodusznością. Lekkim skinieniem głowy wskazuje na swego pociotka, Mikołaja i mruga filuternie. Mikołaj jest już po drugiej stronie strugi. Wolno posuwa się od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka, tu ułamie gałązkę, tam urwie liść, wciąż oddala się od nas.

— On do chaty nawiewa! — Władysław znacząco uśmiecha się od ucha do ucha — On dyplomat... Woli nie narażać się, bo on z takich, co to wierzą, że oni i człowieka, i bydlaka potrafią na śmierć zauroczyć... A gadał, że pójdzie...

Chwila namysłu i dodaje:

— Zresztą, czort ich wie, może potrafią... Ale ja ich nie lękam się! Dobrze z nimi żyję, po sąsiedzku. Trzeba — drzew im urąbię, trzeba — trawy podkoszę, albo grzędy przeorzę. I nie narzekam. Płacą honorowo, jak im dogodzisz. Nie można nic powiedzieć...

Władysław, chyba z przyzwyczajenia, ogląda się na wszystkie strony i obniżonym głosem dorzuca:

— Ludzie gadają, że oni mają, w jakiejś norze zaprute, wielkie pieniądze. Złote ruble, dolary. Po Eliaszu je chowają... A jak ludzie gadają, zawsze łut prawdy w ludzkim gadaniu być musi... Wszystko jedno — Władysław zmienia ton — mają, czy nie mają, nie moja to sprawa...

Mikołaj dawno znikł za drzewami. Prokopczuk miał rację, na wszelki wypadek ulotnił się cichaczem, bez pożegnania, wierny przezornej taktyce niewywoływania wilka z lasu. Z przeciwległej strony strugi wybucha ożywiony wrzask gęsi. Prokopczuk odwraca się ku zagrodzie, podnosi brwi i z ulgą stwierdza:

— Pokłony zakończone! Bazyl wyniósł z chaty żarcie gąskom!

Rzeczywiście, krzykliwe stado gęsi zbiegło się do nóg chuderlawej sylwetki w kusych spodniach, a chudzielec wygiął grzbiet w pałąk i patykiem miesza w pogniecionym rondlu.

— Czuczeło grochowe zostało z Bazyla — Władysław cedzi wyrazy — a był z niego kawał chłopa. No cóż, Bazyl sam jeden a bab cztery... I Samson by nie wytrzymał...

— Niby dlaczego? — pytam.

— Pelagia, Tatiana, Anna i ta, co pomarła, Nadzieja, to cztery żony, a Bazyl jeden... Rozumie pan? — konfidencjonalny uśmiech przecina pucołowatą twarz. Tak ludzie plotą, że im wszystkim mężował z nakazu Eliasza. Ja nie mówię, że tak było, ja tam z kapciołką nad ich wyrem nie stróżowałem — asekuruje się Władysław i po chwili: — No, chodźmy! Teraz nas wpuszczą. Tylko na progu proszę powiedzieć: „Pokój temu domowi!" Oni na różne „dzień dobry" nie odpowiadają...

Prokopczuk rusza pierwszy, ja za nim. Stawiam nogę na sczerniałym, oślizłym drągu. Chuderlawy Bazyli wrócił do budynku, gęsi przestały hałasować. Martwa cisza wtuliła się w nizinę.

Bez pukania otwieram jednoskrzydłowe drzwi. Widocznie dostrzeżono, że idziemy, bo na metr od wejścia zwarty szpaler trzech kobiet z Bazylim na prawej flance. Twarze stężałe, nieprzyjazne.

— Pokój domowi temu — recytujemy z Prokopczukiem.

— Pokój niosącym pokój Boży! — odpowiadają sucho cztery głosy, ale zapora z domowników ani drgnęła.

Robię pół kroku w przód, Prokopczuk też.

— Czego? — ostro pyta czarna kobieta z wielką brodawką na policzku i sztyletuje nas zadziornym spojrzeniem.

Nie wiem, co odpowiedzieć, by rozładować zdecydowanie nieżyczliwą atmosferę. Na szczęście wyręcza mnie Władysław:

— To ja tego pana do was przyprowadziłem. On z Warszawy — podkreśla dla dodania wagi odwiedzinom — dużo opowiadałem mu o Eliaszu.

— O Świętym Eliaszu! — upominająco przecina czarna kobieta.

Ciąg dalszy na str. 4—5

Józef Baran

## Lustro

w godzinach szczytu
miasto dostaje
ataku padaczki
zamknięte ciasnymi murami
oślepione słonecznym żarem
szamocze się jak ryba
wyrzucona na piasek

ulice miasta to
rwące rzeki heraklitejskie

a wieś stoi zawsze przy drodze
na jednej nodze
pionowo bez ruchu
jak staw

w tym stawie
w tym lustrze samotności
mogę się do woli przeglądać

Rys. Z. Strzałkowski

Mikołaj Konczalski

## Przypominanie

Jeszcze w twoich włosach sierpień
ciepłota pełna niskich jaskółczych
zadrośnięć
i złota kurzawa trzmieli
w ogromnym płomieniu twarzy

nie szukaj ręką gwiazd
przecież patrzą
przyklejone do twoich rzęs

nic nie mów
szkoda myślom i oczom
drogi plątać
w wieloramiennym kształcie
planet

niech tylko sierpniem
pachną sady
a w twoich włosach
jabłka i wiatr

# Kto ukradł 60 patentów

Dokończenie ze str. 1

na potwierdza się. Zacząć chyba trzeba od tego, że w schemacie organizacyjnym zakładów nie istnieje ani osobna komórka, ani nawet osobne stanowisko pracy, przeznaczone do tych właśnie spraw. Mgr Mieczysław Krawczyk, absolwent Wydziału Chemii UMCS, wraz z jedną pracownicą, technikiem ceramiki, tworzą cały dział techniczno-technologiczny. Głównym obowiązkiem działu jest planowanie i przygotowanie produkcji, do tego dochodzi normalizacja i kontrola jakościowa produkcji, wszystko obrosłe dość grubą jeszcze sprawozdawczością. Wynalazczość i racjonalizacja przyczepione są tu na zasadzie piątego koła, którym można się zająć w tzw. wolnych chwilach, ale ponieważ ich właściwie nie ma, więc sprawa jest jasna.

W roku ubiegłym w zakładach zgłoszono 24 wnioski racjonalizatorskie, a przyjęto do zastosowania 26. To dziwaczne wyliczenie tłumaczy się tym, że jeszcze z roku 1971 pozostało 16 wniosków nie rozpatrzonych, niektóre zresztą miały jeszcze dłuższy „staż" oczekiwania. Oficjalne sprawozdanie wylicza dalej: z 40 wniosków przyjęto 26 (w tym 10 dotyczących bezpieczeństwa i higieny pracy), do dalszych prób lub wykonania prototypów przekazano 8, do rozpatrzenia w roku przyszłym 9, wreszcie jeden wprawdzie przyjęto, ale nie zastosowano w praktyce. Nie jest to bilans, który napawa optymizmem. Kto umie czytać sprawozdania zorientuje się łatwo, że do tych spraw w „Krasnymstawie" nie przywiązuje się odpowiedniej wagi. Zarówno w administracji jak i w organizacjach społecznych.

Do charakterystycznych wniosków można też dojść przyglądając się bliżej osiągniętym efektom. W sprawozdaniu rocznym wyliczono je na 577 tys. zł, ale ponieważ 82 tys. zł przyniosły pomysły przeniesione tu z innych zakładów — własne projekty dały 495 tys. zł. Rzecz w tym, że prawie wszystko zawdzięcza się dwum projektom. Jeden z nich polegał na tym, aby pod przewożone po nierównych szynach wózki dawać podkładki z ligniny lub waty drzewnej. Zmniejszenie ilości stłuczek dało w ten prosty sposób — jak wiadomo, najtrudniej jest wymyśleć coś prostego — oszczędności roczne wyliczone na 342 tys. zł. Istotą drugiego wniosku było uruchomienie produkcji porcelanowych form na rękawice gumowe, co pozwalało na pełniejsze wykorzystanie kubatury pieców tunelowych. Takich form wyprodukowano za milion złotych, a zysk wyniósł 120 tys. zł.

A teraz policzmy to z innej strony. Jeżeli z efektów ogółem (577 tys. zł) odejmiemy efekty tych dwóch wniosków (462 tys. zł), a także efekty z wniosków obcych (82 tys. zł) — pozostanie nam 33 tys. zł na 14 pozostałych (po odliczeniu tych 10 w sprawach bhp nie dających się wyliczyć) wniosków — czyli przeciętnie po 2357 zł na każdy. Proszę mi wybaczyć, ale jeszcze ostatnie, krótkie liczenie. Bo z efektów należy odliczyć także nakłady, które wyniosły 129 tys. zł. Jeżeli więc od tych 33 tys. zł odejmiemy 129 tys. zł — to okaże się, że poza dwoma wnioskami własnymi i kilku obcymi — do pozostałych zakłady musiały ni mniej ni więcej tylko dopłacić 96 tys. zł. Więc jaki jest interes w popieraniu racjonalizacji, tej na co dzień, drobnej, usprawniającej robotę na jakimś małym odcinku?

Prawdopodobnie w „Krasnymstawie" powiedzą, że moje wyliczenie jest przewrotne, być może wyciągną spod koca jakąś nową liczbę, która co nieco zmieni końcowy rachunek. Jednak i sensu i wniosku ogólnego zmienić się nie da.

Od strony produkcyjnej zakłady krasnostawskie nie mają się czego wstydzić. Ostatnio nie bez kłopotów uruchomiono trudną produkcję kolorowej ceramiki sanitarnej. Ale prawdą jest również to, że warunki pracy są tam wciąż ciężkie, że urządzenia zakładów od początku nie należały do nazbyt nowoczesnych, co m. in. jest powodem szczególnie dużej fluktuacji załogi. I właśnie poprawa tych warunków, unowocześnianie nie tylko drobiazgów, chociaż i to rzecz ważna — oto szerokie pole dla racjonalizatorów, a także autorów wniosków patentowych. Twierdzę, że właśnie tu tkwią wielkie rezerwy „Krasnegostawu".

Krasnostawskie Zakłady Ceramiczne nie są jedynymi, które w naszym województwie takie rezerwy posiadają. Możliwie szybkie i pełne ich wykorzystanie jest właśnie celem Sztafety Racjonalizacji. Obok innych, już stosowanych form — ma to być przede wszystkim szkoła technicznego, organizacyjnego i ekonomicznego myślenia. Na konferencji prasowej członkowie Prezydium WRZZ zapewniali, że Sztafeta nie jest konkursem czy pokerem: kto da więcej? Złotówki mają być tylko wynikiem, a w ocenie — co zresztą ze względu na przyzwyczajenia samych jurorów — preferowane będą te osiągnięcia, które świadczą o tzw. pomyślunku, o ambicji twórczej, o umiejętności perspektywicznego patrzenia i na własny zakład pracy i na całą gospodarkę.

Myślę, że jest to najbardziej właściwe potraktowanie sprawy. Oto dlaczego. Mówimy często, że rok bieżący jest decydującym w realizacji bieżącej pięciolatki. Prawda. Ale chyba jeszcze ważniejszą prawdą jest to, że równocześnie przygotowujemy podstawy i siły wytwórcze do następnej pięciolatki. Jaki będzie jej kształt konkretny jeszcze nie wiemy. Jednak niespotykanie intensywny rozwój społeczno-gospodarczy naszego kraju w ostatnich dwóch latach każe się nam spodziewać, że następna pięciolatka nie tylko ostatecznie wyrówna wszystkie istniejące jeszcze napięcia i dysproporcje, ale i zaspokoi nasze nie tylko już dziś odczuwane potrzeby, lecz i te, z których istnienia dopiero zdamy sobie sprawę w przyszłości.

W wielu naszych zakładach pracy istnieją jeszcze bardzo proste rezerwy, wynikające z różnych zaniedbań technicznych, organizacyjnych i czysto ludzkich. Ale tych rezerw, które dotąd dość często pozwalały kierownictwom na nakręcanie koniunktury, na osiąganie różnych efektownych, a nawet i efektywnych efektów — jest coraz mniej. I będzie wciąż jeszcze mniej. Wiadomo również, że w następnych latach zmniejszą się gwałtownie dopływy nowych rąk do pracy. Głów naturalnie także. Oznacza to definitywny koniec z występującym jeszcze zbyt często ekstensywnym gospodarowaniem. Oznacza to również, że mniejsza ilość rąk musi odznaczać się znacznie większą sprawnością, że mniejsza ilość głów musi rozwiązywać coraz trudniejsze problemy techniczno-ekonomiczno-organizacyjne. Bo przecież chcemy, aby przy mniejszym potencjale ludzkim dochód narodowy rósł jeszcze szybciej niż w chwili obecnej, aby praca była lżejsza, wyroby lepsze i coraz bardziej nowoczesne.

Temu wszystkiemu ma pomagać nasza Sztafeta. Zmierza ona do uaktywnienia załóg w dalszym rozwoju twórczości technicznej, szczególnie zaś do umasowienia ruchu racjonalizatorskiego i wynalazczego oraz zwiększenia jego skuteczności. Nie wszystkie, ale 329 zakładów pracy w naszym województwie, należących do 30 branż, mają wziąć udział w tej sztafecie, która już rozpoczęła się z początkiem sierpnia, a zakończy pod koniec października, krótko przed Krajową Konferencją Partyjną.

Każda branża posiada swoją Złotą Księgę Zobowiązań, która w ustalonej kolejności będzie przechodziła z zakładu do zakładu danej branży. Wpisywać się będzie do niej zobowiązania, indywidualne i zespołowe, które powinny dotyczyć: 1) zwiększenia liczby zgłoszeń racjonalizatorskich i wynalazczych w latach 1973—1975 ponad przewidywane dotąd wielkości, 2) zwiększenia efektywności realizowanych projektów, 3) wniosków szczególnie ważnych dla danego zakładu pracy, a podnoszących wydajność, zwiększających oszczędność materiałów i usprawniających produkcję lub organizację pracy, 4) propagandy twórczości technicznej i znajomości prawa wynalazczego. Całością kieruje Wojewódzki Klub Racjonalizacji i Techniki, który po pewnej reorganizacji i zmianach kadrowych powinien stać się rzeczywiście operatywnym sztabem. W zakładach pracy całą akcją kierują rady zakładowe, naturalnie we współpracy z administracją i innymi organizacjami, zwłaszcza stowarzyszeniami technicznymi.

Ruch wynalazczy w naszym województwie rozwija się systematycznie. W roku 1962 zastosowano 1377 projektów (na 2446 zgłoszonych), które przyniosły 38 mln zł zysków lub oszczędności. W roku ubiegłym zaś zastosowano już 5007 projektów (zgłoszono 8545), wartość efektów zaś wzrosła do 214 mln zł. Ale równocześnie faktem jest, że w stosunku do liczby zatrudnionych nasze osiągnięcia są o 10 procent niższe od przeciętnej krajowej — a trzeba pamiętać, że NRD, ZSRR czy Czechosłowacja mają wskaźniki dużo wyższe od Polski. Czerwoną latarnią w naszym województwie jest Wojewódzkie Zjednoczenie PGR. Pracuje w nim prawie 5 tys. osób, a w ciągu całego roku zgłoszono tam zaledwie 8 (osiem) pomysłów racjonalizatorskich. W ogonie ciągną się cukrownie, przedsiębiorstwa mechanizacji rolnictwa, spółdzielczość pracy czy przemysł materiałów budowlanych. Niedawno okazało się, że w 207 przedsiębiorstwach, zatrudniających razem 59 tys. osób, tylko dwie jednostki o działaniu wojewódzkim posiadały po jednym pracowniku zajmującym się sprawami racjonalizacji, a pracującym na pełnym etacie. Tylko w co czwartym istniał klub racjonalizacji i techniki, w Turnieju Młodych Mistrzów Techniki brali udział pracownicy z zaledwie 45 przedsiębiorstw. Cały przemysł spółdzielczy i terenowy zastosował zaledwie dwa projekty, przejęte z zakładów poza województwem lubelskim. Od 1 stycznia obowiązuje nowe prawo wynalazcze, tymczasem w ciągu półrocza w jego znajomości przeszkolono wszystkiego jedynie 11 osób. Żadne z wojewódzkich zjednoczeń czy przedsiębiorstw nie zatrudnia rzecznika patentowego.

Przykry to rejestr, ale trzeba go opublikować, by przynajmniej zawstydzić odpowiedzialne za to osoby i organizacje. Dla odmiany warto podać, że np. FSC, WSK czy EDA mogą się poszczycić osiągnięciami na skalę nie tylko krajową.

Egzekutywa naszego KW PZPR zajmowała się sprawami racjonalizacji i wynalazczości pracowniczej dwukrotnie: w czerwcu 1971 roku i w listopadzie 1972 roku. Podkreślając osiągnięcia, Egzekutywa szczegółowo wymieniła szereg braków i zaniedbań, jak np.: zbyt małe zainteresowanie rad zakładowych ochroną interesów pracowników-wynalazców, formalną tylko działalnością niektórych klubów racjonalizacji i techniki, różnymi nieprawidłowościami w Azotach, Zamojskich Fabrykach Mebli, niedostateczną pracą związków zawodowych Pracowników Rolnych, Handlu i Spółdzielczości, Kolejarzy i Przemysłu Drzewnego i Leśnego.

W wyniku tych analiz oraz sformułowanych na ich podstawie wniosków wiele zmieniło się na lepsze. Ale nie wszystko. Lubelska Sztafeta Racjonalizacji, pionierska tego rodzaju akcja w kraju, spowoduje — mamy wszyscy nadzieję — dalszą intensyfikację ruchu wynalazczego na Lubelszczyźnie, przesuwając ją z ogona województw przynajmniej gdzieś na miejsce środkowe. Nie będzie to łatwe, jak świadczy chociaż by przykład Zakładów Ceramicznych „Krasnystaw".

Myślę, również, że warto zająć się bliżej zaskakującą sprawą, ujawnioną przez Egzekutywę. Otóż w latach 1967—1971 pięć fabryk naszego województwa — FSC, WSK, KFWM, EDA i LFMR — uzyskały 112 patentów. Tymczasem w produkcji zastosowano tylko 52 patenty. Co się stało z pozostałymi 60? Kto je ukradł? Nie chodzi mi o dosłowność tego sformułowania. Wydaje mi się jednak, że jeżeli myśl techniczna została nagrodzona patentem, jej wartość dla c a ł e j naszej gospodarki była zbyt wielka, aby mogła się zgubić gdzieś w papierach biurokracji, jakichś wycinkowych kłopotach z bieżącą produkcją, czy jeszcze z innego powodu. Sądzę, że nic nie usprawiedliwa faktu, iż 60 patentów nie służy gospodarce narodowej. To tak, jakby je ktoś ukradł — pomysły wraz z całą dokumentacją.

**Jerzy Dostatni**

# Enklawa nad Nietupą

Ciąg dalszy ze str. 3

— O świętym Eliaszu dużo opowiadałem, o sławnym proroku... — Władysław natychmiast się reflektuje. — ten pan — wskazuje na mnie palcem — bardzo prorokiem się interesuje, bo już wcześniej o nim słyszał...

— Od popów, albo od księży?...

— Ani od popów, ani od księży. Od pobożnych ludzi, sprawiedliwych i prawych, od bogobojnych...

Chwila ciszy. Spływają po mnie z dołu do góry i z góry w dół przenikliwe, taksujące spojrzenia, ściągnięte brwi brunetki zbiegły się na pooranym bruzdami czole. Szczelny szereg wciąż twardo stoi, ale kamienne twarze jakby z lekka odtajały, brwi czarnej kobiety z wolna rozluźniają się.

Kamena str. 4

— Znaczy się — indaguje mnie energicznie — znaczy się, ty nie urągasz świętemu prorokowi?

Zapewniam czarnuchę, że ani mi się śni komukolwiek urągać, jedynie chciałbym poznać ludzi, którzy dobrze znali Eliasza i dobrze go pamiętają.

— A któż lepiej od was go znał? — dodaję z naciskiem.

— Aha... No to zachodźcie! — czarna kobieta łagodnieje i skinieniem dłoni rozformowuje zaporę. — A ty, Bazyl, nie rozdziawiaj się, obieraj kartofle!

Siadamy na podsuniętych taboretach i zaczyna się tasiemcowa rozmowa. Trzem kobietom skrzydła urosły u ramion i rozwiązały się języki, ze źrenic wyziera fantastyczna wiara w nieskazitelną prawdę tego, o czym opowiadają. Mówią wszystkie na raz, przekrzykują się. A więc najpierw Eliasz miał senne widzenie — objawiła mu się Matka Boska Częstochowska i kazała piechotą udać się do Kronsztadtu do proroka Joana, który wtedy nauczaniem nowej wiary zasłynął w całym świecie i zamierzał z petersburskiego dworu przepędzić nikczemnego koniokrada, Griszkę Rasputina, który tylko udawał nawiedzonego przez Pana. Joan miał wielki przywilej cudotwórstwa i dar krasomówczy, a u zenitu sławy stanął chyba w 1910 roku. Matka Boska obiecała Eliaszowi, że po powrocie od Joana do Grzybowszczyzny sam okaże się prorokiem Bożym, a gdziekolwiek się ruszy, będą mu ludzie rozwijać pod nogi wały białego płótna z najurodziwszego lnu. I spełniło się! Eliasz stał się prorokiem nad prorokami, czynił cuda nad cudami, uzdrawiał chorych, przepowiadał losy ludzi i świata, głosił kazania, w Grzybowszczyźnie wybudował piękną cerkiew i sam zaczął w niej celebrować nabożeństwa, chociaż popom i księżom te jego piękne nabożeństwa nie podobały się. Rzesze słały mu białe płótno pod stopy i nie odstępując go całowały tłumy ślady Eliaszowych chodaków. On zaś wciąż nauczał, błogosławił sprawiedliwy naród, wojował z popami i archirejami, z mnichami i księżmi. Tak było do 1940 roku. W 1940 roku Eliasz zniknął i odtąd nikt go nie widział. Ludzie grzeszni i małego ducha sądzą, że nie żyje. To nieprawda! Eliasz żyje i wróci tu, do Grzybowszczyzny i Leszczan wróci, bo musi dokończyć podjęte dzieło naprawy chrześcijaństwa, śmiertelnie skażonego grzechem pychy i chciwości przez duchowieństwo wszelkich chrześcijańskich wyznań. Będzie to powtórne, uzdrowicielskie założenie Kościoła Bożego... A oni, trzy kobiety i Bazyli, są strażnikami Jerozolimy Odnowionej, czekającymi na powrót proroka do tej Jerozolimy Odnowionej...

— Wtórne założenie! — podkreśla czarna Pelagia — I dlatego świętujemy nie w niedzielę, lecz we wtorki. We wtorki, dłużej się modlimy i bijemy pokłony, kłaniamy się świętym ikonom. A co do cerkwi w Grzybowszczyźnie, to święty Eliasz wybudował tylko fundamenty, reszta zaś sama na fundamentach wyrosła, w jedną, jedyną noc wyrosła! Oto jak niebo potwierdziło Eliaszową świętość...

Przyglądam się swoim rozmówczyniom. Pelagia jest najmłodsza, najinteligentniejsza i najgadatliwsza. Gdy podnieca się swymi wywodami, wielka, brunatna brodawka, zdawałoby się, biega po jej bladym, gąbczastym policzku, a czarne oczy palą się dziwną drapieżnością. Tatiana jest szczupła, drobna, okrągła w ramionach, patrzy gdzieś daleko, poza otaczający ją świat, mówi spokojnie, jej sformułowania są zwięzłe, przemyślane, nieustępliwe. Wysoka i chuda Anna utyka na prawą nogę, a gdy wymawia imię Eliasza, zawsze żegna się uroczyście i nieznacznie wzdycha. Bazyli szerokim kuchennym nożem obiera kartofle, rzuca je do emaliowanego wiadra, nie odzywa się i od czasu do czasu ogarnia nas sprawdzającym spojrzeniem. Spod skąpych, postrzępionych nogawek sterczą mu dwa wychudzone piszczele, co chwila bezceremonialnie pociąga zakatarzonym nosem.

— Święty głosił kazania, odprawiał nabożeństwa, przewodził tysiącom zwolenników, musiał zatem dużo czytać, studiować pobożne księgi — prowokuję odpowiedź, jakiej się spodziewam.

— Święty Eliasz nie umiał czytać i pisać! — gwałtownym protestem wybucha Pelagia.

— Jak Chrystus Pan, nasz Zbawiciel! — Tatiana dyszy mi prosto w twarz — Święty Eliasz, prorok wybrany, wyklął wszystkie litery i księgi, wszelkie czytanie i pisanie, wyklął razem ze szkołami, popami i nauczycielami! Książki nauczają rozpusty, zagradzają drogę do zbawienia, zatruwają obyczaje! Dlatego je wyklął! On mówił: Przeklęte niech będą książki, bo w nich jest pomiot Antychrysta! — kropelki śliny osadziły się w kącikach ust Tatiany, wzrok ma agresywny, zaczepny, jej mała figurka jakby sprężyła się do ataku. Pozostałe kobiety potakują hałaśliwie.

# Znowu moda na Kazimierz

Mirosław Derecki

Fot. M. Dębski

MODA na Kazimierz jest zmienna jak koryto Wisły. Są lata, kiedy miasteczko wypełnia się gwarnym tłumem młodzieży, po nich przychodzą okresy, gdy przyjeżdżają tylko babcie i matki z dziećmi. Kazimierz staje się wówczas wyciszony, senny, nudnawy. Ot, jedna z miejscowości typowo wypoczynkowych, jakich wiele w kraju.

Przez kilka lat, kiedy wznoszono wał przeciwpowodziowy, a nad naszą „perłą Renesansu" wisiały obłoki kurzu wzniecanego przez ogromne, ryczące ciężarówki, dowożące nieustannie materiał na budowę, liczba wczasowiczów niebezpiecznie zmalała. Łatwo było o miejsca noclegowe i miejsca w restauracjach. Wczasowa atrakcyjność Kazimierza pozostawała jakby w zawieszeniu, osłabła inicjatywa miejscowych władz, szereg niezbędnych dla modnego wczasowiska inwestycji odkładano na czas późniejszy. Następnie przyszły lata „ batalii o Kazimierz", sporów i walk o plan jego zagospodarowania. O mały włos nie otrzymaliśmy Kazimierza ze szkła i niklu. Są to jednak sprawy znane z prasy i nie ma potrzeby ich tutaj powtarzać. Natomiast warto sobie zdać sprawę z faktu, że okres dyskusji co do przyszłego kształtu miasteczka miał wpływ na pogłębianie się atmosfery organizacyjnego marazmu. Wiele ważnych spraw odkładano na później, do czasu ostatecznego wyjaśnienia sytuacji.

Batalia o Kazimierz została wygrana, zwyciężył rozsądek, dobry smak i poczucie piękna. Zaś szum, jaki wytworzył się wokół nadwiślańskiej miejscowości, spowodował kolejny nawrót mody na Kazimierz.

Kazimierz latem 1973 r. przeżywa prawdziwą inwazję młodzieży i artystów. Jest lepiej niż za najlepszych lat bywało. Wesoły, barwny tłum na uliczkach i na nadwiślańskich bulwarach, w Rynku — nie tylko Kmita i Łazorek ze swoimi sztalugami, ale całe gromady młodych adeptów malarstwa zawieszających na murach kamieniczek swoje obrazy, rozkładających „kramy" z wykonaną przez siebie ceramiką, rzeźbami, „młodzieżową" biżuterią, sprzedających trykotowe koszulki z wesołymi malunkami, ostatnio bardzo modne i charakterystyczne dla kazimierskiego lata.

Jak nigdy — dopisali turyści indywidualni, nie mówiąc już o wycieczkach zbiorowych. W miejscowym oddziale PTTK obliczają, że w niedzielę do Kazimierza przyjeżdża 50 do 80 autokarów a więc przynajmniej 2,5 tysiąca wycieczkowiczów. Do tego trzeba dodać znaczną liczbę osób przyjeżdżających własnymi samochodami z Lublina, Puław i Warszawy na dzień lub na pół dnia. Modna się stała taka właśnie forma „wyskakiwania" do Kazimierza.

Na to wszystko Kazimierz nie jest absolutnie przygotowany. Oddana została wprawdzie do użytku nowa, pięknie zaprojektowana przez Mariana Makarskiego w podziemiach budynku obok apteki piwnica-winiarnia, elegancki lokal pierwszej kategorii, z sympatyczną obsługą i dużym wyborem win, ale to tylko kropla w morzu potrzeb. Baza gastronomiczna i zaopatrzenie są w tym roku w Kazimierzu tak złe, jak nie były od wielu już lat. Kupienie wędliny, mięsa, mleka staje się i dla wczasowiczów i dla stałych mieszkańców sprawą nieosiągalną. Już we wczesnych godzinach rannych zamyka się sklep mleczarski, bo nie ma w nim towaru. W pustym wnętrzu sklepu mięsnego stoją długie kolejki zdenerwowanych kobiet, czekających na przywiezienie znikomej ilości mięsa i wędlin. Brak konserw, są trudności z pieczywem, nie brakuje tylko „Coca-Coli", ale — niestety — jedna zagraniczna jaskółka nie czyni wiosny. Jak sięgnę pamięcią, nie przybył Kazimierzowi ani jeden sklep spożywczy, a te, które istnieją, oferują głównie herbatniki, fistaszki w czekoladzie i sezamki.

Jeszcze gorzej z gastronomią. Zlikwidowano restaurację „Grodarz", bo dom znajduje się w remoncie. Znikła urocza kawiarnia „Renatka", bo właścicielowi bardziej opłacało się wynająć lokal na wczasy pracownicze. Już dawno nie istnieje bar „Pod Jeleniem", zlikwidowano też bar mleczny „Miś" w Rynku, tworząc na jego miejscu bezmleczny sklep mleczny. Do godziny ósmej rano nie ma gdzie zjeść śniadania. Pawilon gastronomiczny „Nadwiślański" jest otwierany dopiero o godz. 8, restauracja „Esterka" o 10, kawiarnia w Rynku o 9. Restauracja pod namiotem przy pawilonie „Nadwiślańskim" oferuje głównie napoje chłodzące („Około południa będziemy mieli bigos" — powiedziała mi sprzedawczyni), a po spaleniu Domu Wycieczkowego PTTK tamtejsze kierownictwo z trudem tylko nastarcza zapotrzebowaniu wycieczek, gotując posiłki w kuchniach polowych. Ajencyjna do niedawna „Esterka" zaskakuje brudem, bałaganem, nieudolnością kelnerek, złą jakością potraw i horrendalnymi cenami. Ostatnio „Esterkę" przejęło Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Gastronomicznego, projektuje się tam remont i nowy wystrój wnętrza, ale aż strach bierze co się stanie, kiedy główny — choć tak nieudolnie prowadzony — zakład zostanie zamknięty na kilka miesięcy.

Nic dziwnego, że namnożyły się w mieście punkty, oferujące „obiady domowe" zresztą smaczne i stosunkowo niedrogie, ale osoby prowadzące owe „zastępcze punkty zbiorowego żywienia" albo okupują godzinami miejsca w sklepach, wyczyszczając do ostatka półki i haki, albo jeżdżą po zakupy do Puław.

Na ulicach, na Rynku — brudy. Brak sprzątaczek, mimo że od kilku miesięcy w budynku Urzędu Miasta i Gminy wisi ogłoszenie oferujące pracę i dobre zarobki. „Co mamy zrobić? — powiadają mi. — W Kazimierzu ludzie honorowi, nikt nie kwapi się do zbierania cudzego łajna".

Istotnie, w podcieniach przybyłowskich kamieniczek, gdzie mieści się Urząd Miasta i Gminy, widnieją na chodnikach grube placki jaskółczego guana. Jak by nie można było w takiej sytuacji wykazać więcej pomysłowości, przyjąć na prace zlecone w okresie letnim chociażby kilku młodych ludzi, spędzających w Kazimierzu wakacje i węszących za zarobkiem.

Przedsiębiorstwo prowadzące w Kazimierzu roboty wodno-kanalizacyjne oddaje kolejne odcinki ulicznej nawierzchni pełne dołów i wybojów. Po owych wybojach raz dziennie kolebie się miejska polewaczka.

Od kilkunastu lat hańbą Kazimierza był szalet, zionący wonią na pół miasta, zatruwający atmosferę przylegającego do niego placu targowego. Ileż to sesji Miejskiej Rady Narodowej obradowało bezowocnie nad tym „ciochemerlowskim" problemem! No i w tym przynajmniej względzie reporter może obwieścić dobrą nowinę: rozpoczęto prace nad budową szaletu — „cacka", szaletu — „chluby miasta", pisuaro-pałacu za 730 tysięcy złotych, który zostanie oddany do użytku w przyszłym roku! Cóż, jeszcze trochę więc poczekamy, a potem przyjdziemy, obejrzymy i ocenimy.

Więc coś się jednak zaczyna dziać w Kazimierzu na tak zwanym froncie inwestycyjnym, chociaż — szczególnie jeżeli chodzi o kwestię mieszkaniową — na każdym kroku same kłopoty. Niech nikogo nie zwodzą urocze wille skryte w zieleni ogrodów i sadów! Wybudowanie słynnej „Lachertówki", przezwanej ironicznie przez miejscową ludność „Batorym", tylko w znikomym stopniu rozwiązało problem rodzin czekających na mieszkania. Wlecze się beznadziejnie sprawa rozpoczęcia budowy bloku mieszkalnego przy zbiegu ulic Klasztornej i Senatorskiej dla 19 rodzin, najpierw — z uwagi na niesłychane trudności z wywłaszczeniem właścicieli stojących tam ruder, następnie ze względu na brak dla nich odpowiednich lokali zastępczych. Jeszcze gorzej z lokatorską spółdzielnią mieszkaniową. Już kilka lat temu załatwiano sprawy członkostwa, chętni wpłacili pieniądze, a do tej pory nie ma nawet ostatecznie ustalonej lokalizacji. Mówi się o rejonie Kwaskowej Góry, ale wszystko rozmywa się jeszcze w sferze koncepcji, wstępnych projektów, zanim dojdzie do wywłaszczeń, zanim ruszą sprawy budowlane, upłynie jeszcze kilka dobrych lat.

Nic dziwnego, że szereg osób postarało się o mieszkania spółdzielcze w Puławach. Kazimierzanie z dziada pradziada, często pełni oddania społecznicy, którzy swymi inicjatywami przyczyniali się do rozruszania sennego kazimierskiego życia, jak choćby kierownik kina Józef Miłosz, dzisiaj dojeżdżają do pracy z Puław. To przecież z inicjatywy Miłosza, Tadeusza Tyszkiewicza i kilku innych osób powstał w Kazimierzu wyciąg narciarski, za ich czasów miejscowa plaża była doskonale zorganizowana i wyposażona w sprzęt wodniacki. Warto sobie zadać trochę trudu i zobaczyć, ile obecnie zostało z tamtych lat kajaków, motorówek i rowerów wodnych, ile cennego sprzętu zmarnowano i zaprzepaszczono! Wieloletni marazm, odkładanie ważnych do załatwienia spraw na później, wyczekiwanie na „ostateczne decyzje" sprawiły, że obecnie, kiedy Kazimierz otrzymał nareszcie możliwości i środki potrzebne dla swego rozwoju, tryby miejscowej machiny organizacyjnej obracają się niemal tak samo powoli jak poprzednio.

Na ustach wszystkich jest dzisiaj nazwisko nowego konserwatora, mgr Jerzego Żurawskiego. Jego walce o realizowanie programu rozwoju miasta oraz zachowanie wartości zabytkowych i krajobrazowych był poświęcony artykuł Małgorzaty Szejnert „Zakurzone zwycięstwo" w „Literaturze" z 2 sierpnia br.

Żurawski łączy w sobie cechy doskonałego organizatora i kierownika podległej mu placówki z pasją społecznika, którego działalność już zdołała się odcisnąć na społecznym i urbanistycznym pejzażu Kazimierza. Odsyłając Czytelnika do rzeczowej i w zasadzie wszechstronnie naświetlającej kazimierską sytuację oraz skomplikowane problemy z jakimi styka się Żurawski — publikacji Małgorzaty Szejnert, zatrzymajmy się na jego dotychczasowych dokonaniach, które — należy to mocno podkreślić — byłyby trudne do realizowania bez bardzo życzliwej atmosfery stwarzanej przez PWRN w Lublinie i PPRN w Puławach oraz dobrej współpracy z Wojewódzką Pracownią Urbanistyczną i Wydziałami Architektury PWRN i PPRN.

„Bieżący rok przeznaczyliśmy na nieustanną działalność ofensywną — powiada mgr Żurawski. Ale jest to ofensywa wstępna, dopiero poprzedzająca główną kampanię. Wyraża się we wzmożonej działalności organizacyjnej, koncepcyjnej i przygotowawczej. Mamy rekonstruować, konserwować, czuwać nad budownictwem, ale do tego wszystkiego potrzeba ludzi, pomieszczeń, w których będą oni mogli pracować i mieszkać, trzeba dokonać ogromu prac inwentaryzacyjnych i dokumentacyjnych. My tutaj jesteśmy i pracownią konstrukcyjną i przedsiębiorstwem remontowo-budowlanym i placówką muzealną".

Z 3 pracowników personel Muzeum Kazimierza Dolnego zwiększył się w ciągu kilku miesięcy do 23 osób. Niedawno jeszcze Muzeum otrzymywało nikłą dotację na swoją działalność, obecnie, w samym tylko 1973 r. mgr Żurawski dysponuje sumą 1 200 tys. zł na rozwój organizacyjny podległej mu placówki. Na działalność konserwacyjno-budowlaną otrzymał z PWRN w Lublinie 1 800 tys. zł, a z Ministerstwa Kultury i Sztuki — 2 200 tys. zł. Zatrudnia 3 architektów, 2 hi-

Dokończenie na str. 11

— Tak, tak, książki to zaraza nad zarazami! — śpiewnie i chytrze odzywa się Prokopczuk.

Bazyli skończył obieranie kartofli, pociąga nosem i głaszcze opasłego kota. Kot hultajsko wyciągnął się na jego kolanach, budzik z rozbitym szkłem przypomina, że dawno minęło południe, a Pelagia, Tatiana i Anna ani na chwilę nie przerywają swego opowiadania, mówią chaotycznie, powtarzają się, licytują się w znajomości „ojca dobroci" i jego błogosławionej „nauki nad naukami". Władysław zapewne setki razy wysłuchiwał podobne tyrady, więc wyraz twarzy ma beznadziejnie znudzony, ale zdobywa się na cierpliwość i grzecznie milczy. Ja powstrzymuję się od robienia jakichkolwiek notatek. Pod tym dachem przyjęto by to z wielką podejrzliwością. One zaś wciąż prawią o „pomazańcu", o jego proroctwach, cudach, przepowiedniach, o niezliczonych pielgrzymkach, zbiegających się do Grzybowszczyzny „ze świętymi obrazami, chorągwiami i wielkim śpiewem", o upadku rodzaju ludzkiego i diabelskim jadzie, wyciekającym z gazet, książek i szkół. Ostrożne próby wstrzymania potoku gadulstwa nie odnoszą skutku, nie docierają do „cór Eliasza", jak siebie nazywają trzy apologetki „pomazańca". Najwidoczniej rade są, że znalazły okazję do wykładania, od wielu lat nie mającej odbiorców, zagmatwanej i przeraźliwie czarnej Eliaszowej filozofii. W ich narastającej euforii wydaje się, że do kuchni, w której siedzimy, wypływa ze ścian gęsta, smolista, lepiąca się mgła, jakaś galaretowata maź, od której w gardle robi się gorzko i mdło. A one wciąż trwają w transie, w stanie gorączkowego uniesienia, w zacietrzewionym bełkocie. Wymachują rękami, biją się w piersi, żegnają się pospiesznie, to wzdychają w zachwycie.

Cierpliwość z jaką wysłuchujemy mieszaniny bezsensów zostaje wynagrodzona — otrzymujemy zezwolenie na wejście do „świętej komnaty", gdzie „człowiecza dusza się wybiela". Prokopczuk leniwie podnosi się z taboreta, Pelagia porządkuje roztargane włosy i zaciska pod brodą węzeł rudej chustki.

Niewielka, czyściutko utrzymana izba. W dwu kątach dwa wielkie ołtarze, urządzone z ustawionych na sobie dziesiątków ikon, wielkich, średnich i małych. Ołtarz z lewej strony najwyraźniej poświęcony jest Eliaszowi i Joanowi z Kronsztadtu. Dominują w nim ich portrety, nad głowami „proroków" bizantyjskie aureole. Joan w pontyfikalnych szatach i mitrze. Eliasz w czarnej kapocie. W natłoku ikon, nasyconych czerwienią, fioletem i zielenią skromny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej „tej, co świętemu wskazała drogę do Kronsztadtu". Na drugim ołtarzu, znacznie uboższym, między ikonami, liczne fotografie Eliasza. I tu i tam gęsto od świeczek i pstro od bibułkowych kwiatów. Przyglądam się Eliaszowi, wtłoczonemu w szerokie, złote ramy. Nie malował go artysta ale na pewno i nikt z tych, którzy po jarmarkach eksponują „landszafty" z łabędziami i wiatrakami. Portret nie jest stylizowany na ikonę, autor silił się na realizm, pokusił się jednak o uduchowienie Eliaszowego oblicza. Eliasz jest blady, ma ciemną brodę i ciemne wąsy, kopulaste czoło, jest trochę landrynkowaty i trochę demoniczny, spogląda ze złotych ram wyniośle i czujnie zrazem. W każdym bądź razie, jest to Eliasz myślący.

Kątem oka zerkam na stojące nieco w tyle kobiety. Wpatrują się w portret, promienieją zachwytem i uwielbieniem, ekstazą. Wtem łomot. Oglądam się, Pelagia, Tatiana i Anna runęły na kolana, ręce mają splecione na piersiach, wzrok wbity w portret „wieszczuna". Spokojnie, coraz wyżej i śmielej podnosi się nabożny śpiew. Głosy są surowe i starcze, słów nie odróżniam, z wyjątkiem powtarzającego się refrenu:

— Goos — po — di, goos — po — di, goos — po — di poo — mi — łuuj...

Z kuchni przyszedł Bazyli, klęka obok Anny. Do chóru dołącza się jego drżące:

— Goos — po — di...

* * *

Zastanawiałem się, gdzie ja właściwie się znajduję? W enklawie świata pojęć i odczuć, które dawno i bezpowrotnie przeminęły — to czywiste. Dom pod cynkowaną blachą, nie opodal niemrawej strugi w Leszczanach i jego niecodzienni mieszkańcy, wrogowie oświaty, wyznawcy samozwańczego reformatora, to niewątpliwie ostatni, żywy dokument minionej epoki, w dziwny sposób ocalały, odporny na zmiany, jakie na Białostocczyznę wtargnęły i nią zawładnęły, bagatelny w swej istocie element w zespole zacierających się kontrastów konsekwentnie ujednolicającego się regionu. Może to i dobrze, że ta enklawa ostała się naporowi przeobrażeń? Przecież swą obecnością podkreśla ich rozmiary w pionowym i poziomym przekroju. To doskonała, pełna najszerszego autentyzmu próbka tego, co rozumiemy pod kryptonimem „Polska B", a co tak gwałtownie zanika w naszych województwach, chorujących ongiś na chroniczną niedokrwistość. Londyński gabinet woskowych figur, na dobry ład, ma bardzo pozorne związki z historią. Leszczański gabinet anachronicznych figur z krwi i kości na pewno jest dziełem historii, dziełem społecznych formacji, które po ostatniej wojnie zrzuciła z siebie Białostocczyzna, jak skamielinę przeszłości, dławiącą jej oddech i trzymającą ją w ucisku niemal hermetycznego zastoju.

Leszczańska mikroenklawa to ułamek owej skorupy, nasiąknięty kulturalno-cywilizacyjnymi zastoinami, to wycinek dawnej tkanki tutejszej, wiejskiej społeczności, prawda, że nietypowy, ale i nie z Księżyca przeniesiony...

* * *

— Goos-po di poo-mi-łuuj...

* * *

Na czym dla tych czworga epigonów zaniklej sekty, a przed laty dla tysięcy takich jak oni, polegała atrakcyjność szarlatana z pobliskiej Grzybowszczyzny? Czy na tym, że potrafił rozbudzić w nich i rozhuśtać uśpione skłonności do mistycyzmu, czy też przyłożył lont do nagromadzonych w nich, poza granicą świadomości, tęsknot i wyczekiwań lepszej doli, gdy siedząc na piaszczystych trójpolówkach z pokolenia na pokolenie, z dnia na dzień postne kartofle zapijali postnym żurem? Czy może był odmianą buntownika bez kompasu, błąkającego się po manoweach i na manowce zwodzącego swoich apologetów; może wierzył, że wystarczy człowieka cofnąć w rozwoju i zaszczepić mu prymitywny, ślepy mistycyzm, by łatwiej mu było dźwigać ciężar społecznych upośledzeń? Wszak ów prostak i wizjo-

Dokończenie na str. 6—7

# Junacka sprawa

Dokończenie ze str. 1

właściwie w każdą pogodę; wzniesiona została w półtora tygodnia, żywi, jak twierdzą junacy, dobrze. „Powiedziałbym, że bardzo dobrze", opiniuje skromnie ubrany chłopak, absolwent zasadniczej szkoły zawodowej, pochodzący z chełmskiej wsi.

Z głośników — pełna megafonizacja — sypią się polecenia, wezwania, informacje przeplatane bitową muzyką. „Studio" mieści się w baraku komendy zgrupowania, wylepionym wewnątrz kolorowymi zdjęciami aktorek i aktorów. Przy mikrofonie dyżuruje studentka II roku biologii UMCS, skierowana na praktykę wakacyjną do PZDL, który przeniósł ją następnie na obozowy stołek. Siedzi na nim cały dzień: głos ma „radiowy", gust muzyczny — młodzieżowy, więc można powiedzieć, że siedzi na swoim miejscu.

Godzina 6,30: hufce wyruszają do pracy, niektóre po kilka i kilkanaście kilometrów od obozu, samochodami. Na razie roboty koncentrują się na odcinku 25 kilometrów, co gwarantuje terminowe przygotowanie terenu dla radomskiego podwykonawcy, który już we wrześniu położy tory. Setki drobnych postaci, rozrzuconych po piaszczystych wąwozach, wbija łopaty w ziemię, wrzuca ją na platformy i wywrotki, profiluje nasypy, układa skarpy, kopie rowy... Junacy pracują również przy budowie dróg dojazdowych, związanych z magistralą kolejową, układają kamień, wytyczają, drążą rowy na poboczach. I tak przez siedem godzin, nie licząc krótkiej przerwy śniadaniowej, i tak przez trzy tygodnie trwania turnusu, pod kierunkiem majstrów PZDL. Jak pracują?

— Przez pierwsze dni są, jakby to określić, trochę niezorganizowani, lecz w miarę upływu czasu wciągają się do roboty, angażują, mało tego, bywa, że domagają się cięższej pracy — twierdzi komendant zgrupowania w Woli Dużej, Ryszard Nafalski, „w cywilu" wicedyrektor oddziału PZU w Chełmie Lubelskim, obchodzący właśnie dziesięciolecie swej działalności w OHP; krótko przystrzyżona jasna broda, fajka, na głowie niebieska czapka z junackim emblematem (za 12,80 zł).

— Pracuję łopatą przy plantowaniu nawierzchni, w rękawicach. Wszystko jest dobrze zorganizowane, ale praca jest ciężka, trzeba odpoczywać — zwierza się Wanda Zawada, uczennica III klasy Liceum Pedagogicznego w Wałczu, członek Rady Zgrupowania (rodzaj samorządu) i przewodnicząca komisji czynów społecznych, bo i taką działalność zakłada OHP.

W akcji letniej OHP bierze udział młodzież w wieku od 16 do 20 lat, są to przede wszystkim uczniowie szkół średnich i zasadniczych zawodowych. Silniejsi i słabsi, bardziej lub mniej obyci z pracą fizyczną, a przecież wypadki rezygnacji z uczestnictwa w junackiej robocie można policzyć na palcach jednej ręki. Jeszcze rzadsze są wykluczenia ze względów dyscyplinarnych: podczas dwóch turnusów, które zgromadziły w Woli Dużej 500 osób, zdarzyły się tylko dwie takie historie. Więc szefostwo hufców nie może nachwalić się swoich podopiecznych.

— Pracują wydajniej od robotników, czego przykładem tempo, w jakim położyli 600 metrów kolejowych pasów przeciwpożarowych. W tym samym czasie tamci dociągają do 300 metrów! — z nutą entuzjazmu w głosie informuje zastępca komendanta wojewódzkiego OHP i szef akcji letniej, Stanisław Skrzyński, który został radnym miasta Chełma mając 19 lat. Teraz, po osiągnięciu 24 roku życia, marzą mu się hufce działające w Państwowych Gospodarstwach Rolnych na Lubelszczyźnie! Marzyciel, PGR nie dostrzegają interesu w mariażu z OHP...

— No nie, według naszych ocen wydajność pracy junaka równa się 60—70 proc. wydajności robotnika PZDL. Junak pracuje siedem godzin, nasz pracownik osiem, junak posługuje się mniejszą łopatą, nasz większą, młody pracuje pięć czy dziesięć minut i odpoczywa, robotnik jest wytrzymalszy. Dopiero pod koniec turnusu młody przyzwyczaja się do roboty — ripostuje zastępca kierownika PZDL, technik Marian Chrześcijan. — Ale to mało ważne. Trzeba powiedzieć jasno, że bez pomocy OHP, opierając się tylko na własnych siłach, bylibyśmy dopiero na początku drogi, nie widząc jej końca. Roboty przypadają na okres sianokosów i żniw, więc sporo ludzi wraca od nas do własnych gospodarstw.

Załoga PZDL liczy około 1500 ludzi, z czego jedną trzecią stanowią chłopi-robotnicy. Wiosną, latem i jesienią pracują na dwie zmiany: na własnym i państwowym, bywa nawet, że tylko na własnym, albo na pół siły na państwowym: po rannej kośbie sił do roboty przy kopaniu rowów nie starcza. Zresztą przedsiębiorstwo musi honorować odpowiednie zarządzenia, zalecające zwalnianie tych ludzi do prac polowych, jeśli zachodzi taka potrzeba. Prawda, biłgorajski PZDL należy do czołowych zakładów tego typu w kraju, w ubiegłym roku zdobył I miejsce, nie mówiąc już o przewagach wojewódzkich. Niemniej, wobec rozmachu inwestycji kolejowej, wszystkie jego moce przerobowe pomnożone przez dobrą wolę i jeszcze lepszą organizację pracy nie na wiele by się zdały. Poza tym PZDL musi jeszcze realizować swoje normalne, drogowe plany. Oferta OHP przyszła w samą porę i potraktowana została w sposób proporcjonalny do jej wartości: poważnie.

Co junak ma? W łóżku — czystą pościel, w kieszeni, po zakończeniu turnusu — od 800 do 1200 złotych na czysto. Za całodzienne wyżywienie płaci 18 złotych, resztę dwudziestopięciozłotowej stawki dokłada pracodawca. Uczestnicy wszystkich zgrupowań pierwszego turnusu zainkasowali w sumie 1 237 500 złotych, a ich pracę oceniono na 6 100 000.

Dlaczego uczeń zostaje junakiem? „Bo za zarobione pieniądze można zorganizować sobie wakacje, wyskoczyć na autostop i tak dalej" — jasno stawia sprawę Edward Chowra, absolwent chełmskiego liceum ogólnokształcącego. Ci, którzy wybierają się na studia, liczą ponadto na inne korzyści. Otóż po odpracowaniu 24 dni w ramach OHP rosną punktowe akcje kandydata do indeksu, a poza tym omija go praktyka wakacyjna na tzw. roku zerowym. Pociąga również towarzyszący hufcom klimat przygody, związany z nowym środowiskiem, z nieznanym terenem, z obozowym trybem życia... Junacy, którzy szczególnie wyróżniają się w pracy, mają szansę uczestnictwa w polskich hufcach zatrudnionych za granicą, na Węgrzech i w NRD, gdzie można całkiem nieźle zarobić, korzystając z przywilejów gościa. W tym roku do wspomnianych krajów wyjedzie 140 osób.

Godzina 15—16: obiad w obozowej stołówce.

Po obiedzie: gry w siatkówkę, w piłkę nożną, kometkę, szachy i warcaby, czytanie prasy, regularnie dostarczanej do obozów, zabawa w koncert życzeń... Organizuje się również imprezy bardziej pouczające. Z okazji święta narodowego odbyło się na przykład spotkanie przy ognisku z kombatantami, uczestnikami walk z hitlerowskim okupantem. W kilka dni później junacy gościli dyrektora Ośrodka Kultury i Informacji NRD w Warszawie, w którego towarzystwie wysłuchali płyt z nagraniami niemieckich wokalistów, a potem sami zaśpiewali — po niemiecku — dwie piosenki.

Po wieczornym apelu obóz układa się do snu; na placu pozostają warty...

**W akcji letniej OHP na Lubelszczyźnie uczestniczy niemal 5 tysięcy dziewcząt i chłopców. 250 junaków pracuje w rolnictwie, 750 — w budownictwie, 700 — w leśnictwie, 200 zatrudniły inne resorty. Największa, bo prawie trzytysięczna grupa zjechała do Biłgoraja, zyskując bardzo dobrą opinię w oczach fachowców kierujących budową linii kolejowej. Pod względem rozmachu i sprawności organizacyjnej akcja „lubelska" uplasowała Wojewódzką Komendę OHP na szóstym miejscu w kraju (dane z przełomu lipca i sierpnia). Dziś o junaków z hufców wakacyjnych upominają się liczne przedsiębiorstwa, przede wszystkim budowlane i drogowe. Najmniejsze, po prawdzie niemal żadne, zainteresowanie tą formą sezonowej pomocy produkcyjnej wykazują Państwowe Gospodarstwa Rolne Lubelszczyzny, zachowując się zupełnie inaczej, niż ich odpowiedniki w województwach szczecińskim, koszalińskim, olsztyńskim czy łódzkim. Nasze PGR wolą zatrudniać studentów w ramach praktyk wakacyjnych, co jeszcze w tej chwili ma swój sens i znamiona porządku ekonomicznego. Ale w najbliższych latach ta rezerwa zostanie zapewne poważnie uszczuplona, albowiem coraz więcej młodzieży już w trakcie nauki w szkole średniej „zalicza" praktyki roku „zerowego", właśnie przez uczestnictwo w letniej akcji OHP. Warto zwrócić uwagę na ten moment.**

**Krajowe „Lato 72" objęło 85 tysięcy młodzieży, która przyłożyła rękę do budowy tylu a tylu kilometrów dróg, wykarczowała i oczyściła ileś tam hektarów lasów, pomagała przy wznoszeniu domów. Te wszystkie tony, metry bieżące i sześcienne zostaną skrupulatnie odnotowane w kronikach różnych organizacji, posłużą do obliczenia siły biologicznej młodego pokolenia, staną się odskocznią indywidualnych awansów. Tymczasem efektów działalności OHP nie wolno rozliczać wyłącznie w złotówkach i kilogramach, bo w tej całej historii chodzi ostatecznie o coś równie cennego, a może nawet ważniejszego: o praktyczną realizację idei „wychowania przez pracę". Czy wszystkie zgrupowania junackie w Polsce współdziałały z tak dobrze zorganizowanym i rzeczywiście szanującym pracę przedsiębiorstwem, jak Powiatowy Zarząd Dróg Lokalnych w Biłgoraju, kierowany od początku istnienia przez Zbigniewa Stepanowa?!**

**Tadeusz Graba**

## Dziesięć dni we Lwowie (III)

# Trzydziestu

JAK się zaczęło? — Zbigniew Chrzanowski, kierownik artystyczny Polskiego Teatru Ludowego Obwodowego Domu Nauczyciela we Lwowie, powtarza moje pytanie i przez moment jakby się zastanawiał, co powiedzieć.

Na dworze upał, ale w tej małej salce teatralnej, w której właśnie odbywa się nasza rozmowa, chłód wielki. Wymarzone miejsce do wymiany myśli.

— Miłość do teatru zaszczepił w nas nauczyciel literatury polskiej, Piotr Hausvater. Pracował on w jednej z polskich szkół we Lwowie i był starej daty pedagogiem. Gdy przeszedł na emeryturę, nadal chciał być czynnym, czuć się potrzebnym, zaczął więc zapraszać swych wychowanków, już absolwentów, do domu. Czytaliśmy głośno, rozpisując na głosy, dramatyczne utwory polskie. Początkowo nie myśleliśmy nawet, że nasze spotkania przekształcą się w prawdziwy teatr, traktowaliśmy je przecież jako zapełnienie wolnego czasu. Ostatecznie jednak wystąpiliśmy jako zespół dramatyczny absolwentów polskich szkół na zewnątrz. Widzami byli nasi młodsi koledzy. Pokazaliśmy „Rycerskość wieśniaczą" Vergi oraz „Babcię i wnuczka" Gałczyńskiego. Nasz występ spotkał się z dużym aplauzem, w jednej z gazet ukazała się na ten temat notatka. Później zbliżała się rocznica Słowackiego i wzięliśmy na warsztat „Balladynę". „Balladynę" potraktowaliśmy już z pewną perspektywą, chcieliśmy ją pokazać publicznie.

— Który to był rok?

— 1958. Ten rok uważamy za początek istnienia naszego teatru. Właśnie będziemy obchodzić jego piętnastolecie. Z premierą „Balladyny" wystąpiliśmy w budynku twórczości ludowej; zrzeszają się tam amatorskie koła obwodu i miasta. Widocznie spodobaliśmy się, bo zaproponowano nam stałą pracę w jednym z domów kultury we Lwowie i tym domem okazał się właśnie Dom Nauczyciela. To nie był przypadek, bo przecież nauczyciel był założycielem naszej placówki kulturalnej... W tym Domu jesteśmy do dzisiaj.

Chrzanowski pokazuje mi jeden z programów teatru. Na czwartej stronie spis repertuaru z lat 1958—1971. Razem 24 pozycje. Słowacki, Fredro, Zapolska, Bałucki, Korzeniowski, Szaniawski, Maliszewski, Wydrzyński, Jesionowski, Salaburska, Pogodin, Rozow, Simonow, Verga, Szekspir, Żeromski, Fredro, Anouilh, Wyspiański — przepisuję nazwiska w kolejności. Ale to przecież nie wszystko. Repertuar nie uwzględnia Moliera i licznych wieczorów organizowanych z przeróżnych okazji.

Rozmowa schodzi na temat samego zespołu.

— Proszę sobie wyobrazić — słyszę — że zespół prawie się nie zmienia, to znaczy nie zmienia się w swoim rdzeniu. Większość spośród tych, którzy przyszli w 1958 r., pozostała do dzisiaj. Jolanta Martynowicz na przykład pracuje już u nas od 15 lat, tak samo Lidia Chrzanowska — Ilku, moja siostra. Najmłodsi, ci, których mógł pan wczoraj słyszeć i oglądać w montażu Norwida, przybyli do nas stosunkowo późno, bodajże w 1968 roku, gdyśmy przygotowywali „Wesele" Wyspiańskiego. Nad tą sztuką pracowaliśmy niemal przez cały rok.

— A propos, ile mieliście przedstawień „Wesela"?

— Trudno mi tak z pamięci określić, ale chyba do dwudziestu. Nie tylko we Lwowie, ale również w Wilnie i w Moskwie. W Moskwie otrzymaliśmy specjalną nagrodę od ministra Kultury ZSRR, tow. Furcewej. Tutaj dodam, że niektóre pozycje bardzo długo utrzymują się w naszym repertuarze, na przykład „Panna Maliczewska" Zapolskiej od 1960 roku po dzień dzisiejszy.

— Przepraszam, ale nasunęła mi się taka uwaga: w waszym repertuarze dominują rzeczy klasyczne. Brak mi tutaj chociażby Brylla...

— Pan myśli zapewne o „Rzeczy listopadowej?" Owszem, zastanawiałem się i nad nią, ale właśnie w tym czasie, gdy ta sztuka miała w Polsce tak wielkie powodzenie, pracowaliśmy nad „Weselem". Wyspiański pochłonął wszystkie nasze siły i możliwości. Poza tym zawsze liczę się z tym, jak dana sztuka zostanie przyjęta przez widza. Chyba nasz widz nie jest przygotowany do tego rodzaju rozmowy teatralnej. Nie mniej uważam, że chociażby dla ciekawości powinno się taką rzecz zaproponować.

— Mam kolejne pytanie: jak wygląda sprawa finansowania waszego teatru?

— Normalnie i sprawnie. Mam dwa etaty. Dla kierownika i plastyka, ale myśmy to sobie trochę inaczej wykombinowali, tworząc etat dla kierownika od spraw technicznych, jest to funkcja, powiedziałbym, administracyjno-gospodarcza... A plastycy współpracują z nami różni. Ciekawe, że nie Polacy — dwóch Rosjan i jeden Węgier. Właśnie przygotowują teraz deko-

# Enklawa nad Nietupą

Dokończenie ze str. 4—5

ner do czegoś zmierzał, czegoś chciał dla ludzi, nie oglądał się za wzbogaceniem — co wszyscy, pamiętający go potwierdzają — nie dbał o pieniądze, którymi wyznawcy jego „doktryny" — z czołobitnością go obsypywali.

Nie ma zjawisk samorodnych. Dla powodzenia Eliasza grunt musiał być długo przygotowywany. Niewątpliwie grunt tem tym był kulturowy zastój chłopskich mas tej części Białostoczczyzny, datowany od XVII stulecia do pierwszej wojny światowej. Ale czy tylko?... Klęczące obok mnie, trzy fanatyczne „eliaszówki" oderwane od świata, zasklepione w umysłowej ciemnicy i to czwarte męskie chuchro, oczywisty półgłówek, Bazyli, z własnej woli tragicznie samotni, uznani w okolicy za niespełnych rozumu, przez niektórych wręcz za jędze i „szeptuchy", są epigonami kilku tysięcy Eliaszowych sekciarzy. Dlaczego związali się z sektą? Co im sekta obiecywała, jakie miraże roztaczała przed rozpaloną wyobraźnią?

Miał „prorok" Eliasz liczną armię swoich sekciarzy, najgorliwszych w powiatach sokólskim, bialskim, dąbrowskim i hajnowskim, a im dalej od Grzybowszczyzny, tym bardziej Eliasz ich fascynował i tym bardziej byli fanatyczni. Aż z pińskich błot na Polesiu i wołyńskich rozłogów zbiegały się nad rzeczkę Nietupę, do Grzybowszczyzny, procesje „eliaszowców", by podziwiać cerkiew, która „w jedną noc z ziemi wyrosła", uzyskać błogosławieństwo „wybrańca", zapalić świecę w jego cerkwi, przynieść do domu garść piasku, na którym stanęła noga „proroka". W długie, zimowe wieczory, skubiąc kądziel przy zawieszonej na ścianie naftówce, rozwodziły się uczestniczki pielgrzymek przed zadziwionymi, nie tającymi ciekawości, sąsiadami o dalekiej, zagubionej gdzieś między Sokółką a Grodnem, Grzybowszczyźnie i o Eliaszowej świętości. Z tych kądzielanych pogwarek musiał w ich fantazji urastać Eliasz na równego legendarnym „mężom Bożym", na nowe wcielenie biblijnego Eliasza, którego w ognistym rydwanie cwałujące po chmurach rumaki, żywego uniosły przed tron Boga...

A tymczasem siermiężny chłop, Eliasz, urodził się w Grzybowszczyźnie i miał nazwisko: Klimowicz. Po powrocie od Joana kronsztadzkiego rozpoczął się awanturniczy rozdział w jego życiarysie. Dał się namówić na wstąpienie do zakonu, potem uciekł z klasztornej celi, ogłosił własną religię i wydał wojnę wszelkiemu duchowieństwu. Rozmach miał szeroki, pomysły nieokiełznane. Za otrzymywane od wyznawców pieniądze postanowił wznieść w Leszczanach dwie cerkwie, zbudować tu kompleks klasztorny na wzór greckiego Athosu a z Grzyboszczyzny uczynić wspaniałe miasto, pod wiele mówiącą nazwą: „Jerozolima Odnowiona". Trzy, wciąż modlące się, kobiety i Bazyli należeli do grupy pierwszych, którzy się zgłosili do nowicjatu w grzybowskim Athosie. Dom, w którym się modlą, to jeden z trzech mu podobnych, zbudowanych przez Eliasza dla jego mnichów. Tych czworo pierwszych, i już ostatnich, żyje tu według przez siebie samych ustalonej reguły. W oderwaniu od reszty wsi i świata, na nic nie znaczącym marginesie, nowej, leszczańskiej rzeczywistości.

* * *

— Goos-po-di poo-mi-łuuj...

* * *

Rozrost sekty spowodował rozszczepienie się jej na trzy odłamy o bardzo płynnych granicach terytorialnych i „doktrynalnych". Tarcia między odłamami doprowadzały do ekscesów i zażartych walk. Związane z tym wypadki wypłowiały w pamięci świadków, ale dość skrzętnie zapisywał je wtedy Bogdan Marczuk ze wsi Puchały. Od niego można się dowiedzieć, iż od 1929 roku poczynając zaroiło się od głosicieli „nauki" Eliasza, uzurpatorskich apostołów i osobników, podających się za postacie biblijne — Jana Chrzciciela, Ennocha, Dawida, Jakuba... Marczuk zanotował: „... nocami w mieszkaniach odbywają się długie modły, chodzą po wsiach, błogosławią, chrzczą i przygotowują wszystkich do zbliżającego się końca świata. Część mieszkańców niezaangażowanych odnosi się do nich wrogo i kilkakrotnie zorganizowano pogromy. Sfanatyzowani eliaszowcy raz po raz doznają cudownych wizji, rozmawiają z duchami, podają się za aniołów, chodzą nadzy po wsi — również w okresie zimy — zadają sobie ciężkie udręki. Dochodzi do podpalania cerkwi. Wierna swemu wyznaniu ludność prawosławna obserwowane ekscesy eliaszowców tłumaczyła bardzo prosto — za herezję zostali oni ukarani pomieszaniem zmysłów".

* * *

— Goos-po-di poo-mi-łuuj...

* * *

„Doktryna" Eliasza była jakimś rozpaczliwym miotaniem się z alogiczności w alogiczność. Eliasz głosił boskość duszy ludzkiej a jednocześnie nauczał, że dusza grzesznika po jego śmierci „przemienia się w ryżego psa lub wesz", z taką samą pasją zwalczał katolicyzm jak prawosławie, a jednocześnie wdawał się w pertraktacje z duchownymi obu wyznań a nawet przekazywał swoją cerkiew na katolicki kościół, przepowiadał rychły koniec świata i twierdził, że posłannictwem jego jest moralne odnowienie świata „na tysiąc tysięcy lat", zwalczał oświatę, szkoły, wszelką naukę, lecz była to raczej przemyślana taktyka niż „doktryna". Po

Kamena str. 6

racje do „Snu nocy letniej" Szekspira i „Mistrza" Skowrońskiego. Szekspira dajemy w tłumaczeniu Gałczyńskiego. Jest to tak cudne tłumacze-

# zapaleńców

Marek Adam Jaworski

nie, że można je uważać za część poezji polskiej.

— Ile osób liczy wasz zespół aktorski?

— Zespół aktorski robi u nas wszystko, to jest grupa, trzydziestoosobowa grupa, zapaleńców. Oczywiście wszyscy pracują honorowo, bezinteresownie. To, co uzyskamy za bilety wstępu, a najdroższy bilet kosztuje u nas 70 kopiejek, przeznaczamy głównie na materiały dekoracyjne.

— A jak z kostiumami?

— Jesteśmy pod tym względem o tyle bogaci, że kostiumy często otrzymujemy z Polski. Bez pomocy teatru kieleckiego, jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni, nie moglibyśmy wystawić „Wesela". Właśnie teatr kielecki dostarczył nam strojów. Bardzo pomogła nam w tym polska ambasada w Moskwie i Towarzystwo Polonia. Jeszcze przedtem dwukrotnie przysłał nam kostiumy Teatr Polski w Warszawie, a ostatnio Teatr Narodowy.

— W dużej mierze jest to chyba i zasługa pana osobistych kontaktów...

— Niekoniecznie. Pokłoniłbym się tu pani Wandzie Michalewskiej, która jest obecnie na emeryturze, ale która przez wiele lat była polskim konsulem w Kijowie, a także panu dr. Zygmuntowi Kuczyńskiemu z Warszawy, prawdziwemu mecenasowi sztuki.

— Wracając jeszcze do spraw finansowych: czy plastycy też pracują bezinteresownie?

— Nasi protektorzy, czyli dyrekcja Domu Nauczyciela, skłonni są im płacić, ale większość z nich po prostu odmawia.

— Wspominał pan o młodzieży, która doszlusowała do teatru w 1968 roku. Czy ta młodzież gdzieś pracuje?

— Większość tak, wśród niej jest też kilku studentów; wczoraj, w montażu wierszy Norwida, występował też świeżo upieczony absolwent 10 klasy polskiej szkoły we Lwowie, Janusz Borejko.

— A jak często odbywają się próby?

— Trzy razy w tygodniu. Teoretycznie, bo jeżeli trzeba, to i częściej. Zaczynamy próby o ósmej wieczorem, trwają one zwykle do jedenastej.

— Ile macie miejsc na tej sali?

— 150.

— I zwykle są zapełnione?

— Raczej tak. Wystawiając montaż wierszy norwidowskich musieliśmy celowo zmniejszyć liczbę miejsc do osiemdziesięciu. Również w czasie „Wesela", ponieważ część akcji odbywa się na sali, musieliśmy dokonać pewnych ograniczeń. Na tej scenie „Wesele" by się nie zmieściło.

— Czy często jeździcie do Wilna?

— Staramy się tam bywać przynajmniej raz w roku. I muszę się panu przyznać, że zawsze wydaje mi się, iż wilnianie lepiej przyjmują nas niż lwowianie. Wilno ma dwa polskie zespoły dramatyczne z tym, że żaden z nich nie ma jeszcze miana teatru ludowego. Jeden z tych wileńskich zespołów działa przy klubie pracowników medycznych, drugi zaś przy klubie kolejarza.

— Gdzie występujecie w Wilnie?

— W Pałacu Kultury Kolejarza i w Pałacu Związków Zawodowych, który jest siedzibą bardzo znanego Zespołu Pieśni i Tańca „Wilia", pracującego na zasadach, powiedziałbym „Śląska", i propagującego folklor polski, ale w bardziej scenicznych wydaniach.

— Ile osób przychodzi na wasze występy w Wilnie?

— Sala w Pałacu Kultury Kolejarza mieści 600 osób, graliśmy tam dwa razy komedie Moliera przy pełnej widowni, sala w Pałacu Związków Zawodowych mieści natomiast 250 osób. W Wilnie jest zdecydowanie więcej Polaków niż we Lwowie, ale przecież nie tylko Polacy przychodzą na nasze występy. Polonia wileńska ma dziennik w języku polskim „Czerwony Sztandar", a także codziennie półgodzinną audycję w radiu.

— Mam jeszcze jedno pytanie. Czy pan ogląda spektakle teatralne polskiej telewizji?

— Przyznam się, że, niestety, nie. Wpływają na to warunki obiektywne. Wieczorami mamy próby, poza tym jestem reżyserem miejscowej telewizji. A ponadto dom, w którym mieszkam, jest położony nieco niżej i trudno mi odbierać Warszawę. Kiedy jednak bywam gościnnie w Polsce, staram się wszystko odbić sobie z nawiązką. Krążę w takim trójkącie: Warszawa—Wrocław—Kraków, zresztą, jak dotychczas, tylko te miasta znam...

* * *

Kończę rozmowę zaproszeniem do Lublina. I po cichu myślę sobie: czy nasz lubelski teatr, który szczyci się współpracą z teatrami Rumunii, Jugosławii, Francji, nie mógłby zainteresować się bliżej polskimi kolegami ze Lwowa? Słowa te dedykuję pod rozwagę dyrektorowi Kazimierzowi Braunowi. A po troszę również kierownikowi Wydziału Kultury Prezydium WRN — Jerzemu Cywoniukowi.

P.S. Rozmowę ze Zbigniewem Chrzanowskim relacjonowałem na podstawie zapisu taśmy magnetofonowej. Całość — do wglądu.

# Mecenat Jana Zamoyskiego

Adam Andrzej Witusik

BYŁ polskim Medyceuszem XVI wieku, i co do tego twierdzenia nie ma dziś wśród historyków sporów ani dyskusji. Działalność inspiratorska i organizacyjna Jana Zamoyskiego na polu kultury, nauki i oświaty jest stosunkowo najlepiej znana i zbadana ze wszystkich dziedzin jego aktywności, gdyż sprawom tym poświęcono najwięcej studiów i opracowań historycznych. Trudno się zresztą dziwić takiemu ukierunkowaniu badań. Kultura i oświata były tymi dziedzinami działalności Jana Zamoyskiego w których miał rękę rzeczywiście szczęśliwą.

Portret Jana Zamoyskiego z roku 1600 (Galeria Uffizzi, Florencja).

Gust niewątpliwie miał świetny, na architekturze i sztuce znał się doskonale. Największe dzieło jego życia — Zamość — po dziś dzień zachwyca nie tylko Polaków, i miejmy nadzieję, że uda się go ocalić dla przyszłych pokoleń. Szkoda, że z budżetu Jana Zamoyskiego na wydatki związane z kulturą, nauką i oświatą nie szło jeszcze wielokrotnie więcej pieniędzy. Każdy bowiem grosz ulokowany w tej właśnie dziedzinie był najszczęśliwszą inwestycją.

O Janie Zamoyskim jako mecenasie kultury, nauki i oświaty wiemy bardzo wiele, z wyjątkiem kwestii może najciekawszej: ile to wszystko kosztowało, jaką część ogólnych dochodów wydatkował przez całe swoje życie na sprawy kultury i oświaty? Trudno ustalić liczby dokładne, ale na przykład na podstawie regestru dochodów i wydatków kanclerza z lat 1579—1582 oraz zestawienia wydatków Zamoyskiego, przewidzianych w pierwszym półroczu 1598 r., można stwierdzić, że na wszystkie (w najszerszym pojęciu) sprawy kulturalno-oświatowe wydatkował w tym okresie najwyżej kilka procent sum, którymi dysponował.

Był to mecenat prywatny czy państwowy? Czy inspiracja literatury (patronowanie m. in. Szymonowi Szymonowicowi, Reinholdowi Heidensteinowi, Stanisławowi Reszce i Sebastianowi Klonowicowi), troska o naukę i oświatę (założenie Akademii Zamojskiej, utworzenie w Zamościu drukarni i biblioteki, wysyłanie osób na studia za granicę, zabiegi o sprowadzenie do Polski wybitnych uczonych) — były to osobiste, prywatne zasługi Jana Zamoyskiego, czy też przejawy jego działalności niejako z urzędu, męża stanu, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego?

Znak drukarni zamojskiej z XVII wieku.

**Wątpliwości być nie może. Mecenat był prywatny, bo prywatne były pieniądze, które na te cele wydatkował. Tylko że pojęcie „mecenat prywatny" rozumieć trzeba w kategoriach tamtej epoki. Wprawdzie służył on niejednokrotnie ogółowi, jednak kwestią nadrzędną była sprawa umocnienia pozycji Jana Zamoyskiego w polskiej i zagranicznej opinii publicznej. Mecenat był po prostu jednym z narzędzi propagandy.**

Nie więc względy czysto osobiste, nie potrzeba wewnętrzna, lecz przede wszystkim względy polityczno-propagandowe, a częściowo także gospodarcze decydowały o uprawianiu przez Zamoyskiego mecenatu. Inspirowana przez kanclerza twórczość literacka miała utrwalać jego pozycję w państwie, podnosić prestiż społeczny. Podobnie rzecz się miała z założeniem Akademii i drukarni, z utrzymywaniem na własny koszt młodzieży na studiach etc.

**Podkreślić trzeba, że kultura, nauka i oświata były dziedzinami, którym Jan Zamoyski poświęcił znacznie mniej uwagi, niż zwykło się mniemać na podstawie wybitnego akcentowania przez historiografię zwłaszcza lat ostatnich zainteresowań kulturalno-oświatowych kanclerza, z zaniedbywaniem innych dziedzin jego pracy, przede wszystkim jako męża stanu, polityka i wodza.**

Ciekawe światło na podział zainteresowań Jana Zamoyskiego rzuca na przykład porównanie wielkości wydatkowanych przez niego sum pieniężnych. Otóż najpoważniejszą rubrykę w rozchodach Zamoyskiego stanowiły wydatki na nieustanne skupywanie majątków ziemskich i ich podnoszenie gospodarcze. Tak na przykład włość sulmicka kosztowała go 25 000 zł, włość szczebrzeszyńska — 85 000 zł, włość gorajska i turobińska — 130 000 zł, włość kraśnicka —92 000 zł, wieś Mokre — 4700 zł, część wsi Chomęciska — 2600 zł, Chmielek z przyległościami — 5000 zł. Za wieś Przecławkę dał 3000 zł, za Śniatycze i Wolę Śniatycką — 2000 zł, a za Krynice i Niemirów — 12 000 zł. Olbrzymie sumy pieniężne szły na budowle i inwestycje, jak budowa nowych miast, zamków, dworów, folwarków, zakładów przemysłowych itp. Sporo zwłaszcza kosztowała Zamoyskiego budowa Zamościa. Według relacji architekta Bernardo Morando, który kierował całą jego budową, do 1596 r. włożył w nią Zamoyski samej tylko gotówki do 250 000 talarów, tj. w przeliczeniu na ówczesną walutę polską — do 291 666 zł.

Znaczne sumy pieniężne pochłaniało utrzymanie dworu w Zamościu. Był to dwór liczny i wspaniały, iście królewski. Na przykład w 1599 r. na pensje dla dworzan, służby dworskiej i profesorów Akademii Zamojskiej wydano ogółem 6220 zł 24 gr, tj. dla sług i czeladzi dworskiej 4740 zł 24 gr, dla profesorów Akademii Zamojskiej — 1480 zł. Między innymi płaca roczna architekta nadwornego Bernardo Morando wynosiła 500 zł, rektora Akademii Zamojskiej Macieja Jaworowskiego — 230 zł, weterynarza — 100 zł, krawca — 80 zł, kuchmistrza — 72 zł, tłumacza języka arabskiego — 54 zł, piekarza — 20 zł, „baby, która kapłony karmi" — 4 zł. Płace nie stanowiły jedynego wydatku na utrzymanie dworu. Prócz bowiem pensji w gotówce, dwór dawał dworzanom i czeladzi mieszkanie, wikt, tzw. barwę, tj. odzienie i obuwie, oraz inne deputaty.

**Pokaźną pozycję w rozchodach ogólnych stanowiły wydatki na zakup wina i piwa oraz sukna. Tak na przykład półroczny budżet skarbu kanclerskiego na r. 1598 przewidywał na kupno wina około 1500 zł. Wino sprowadzał Zamoyski z Węgier. Wydatki na piwo były znacznie mniejsze, gdyż pito piwo przeważnie własnego wyrobu. Sporo pieniędzy pochłaniał zakup sukna. Potrzebował Zamoyski sukna dla siebie, licznego dworu i służby, oraz dla chorągwi wojskowych i załóg w zamkach. Sprowadzał je głównie z Gdańska. Tak na przykład w 1581 r. zakupił w Gdańsku u kupca Heidemana sukna za 6365 zł 27 gr.**

Niemałe sumy pieniężne łożył Zamoyski na przedsięwzięcia wojenne. Pierwsza ekspedycja moskiewska z 1579 r. — według słów samego kanclerza — kosztowała go 50 000 zł, a na drugą potrzebował 40 000 zł. Z wydatną pomocą przyszedł Zamoyski skarbowi Rzeczypospolitej w czasie wojny z Wołoszczyzną w r. 1600 i ze Szwecją w r. 1601, pożyczając mu na potrzeby wojenne bardzo duże sumy pieniężne. Dyplomata włoski Bonifacy Vanorzi pisał: *Powiedziano mi, że pan kanclerz nigdy nie wychodzi osobiście z wojskiem w pole, żeby go ta wyprawa nie miała kosztować do 30 000 lub 40 000 złotych z własnego dochodu.*

Sporo pieniędzy pochłaniały też wyjazdy na sejmy. Na przykład sejm warszawski z 1585 r. kosztował go — według relacji marszałka wielkiego koronnego, Andrzeja Opalińskiego — blisko 30 000 zł. W półrocznym budżecie wydatków na r. 1598 wydatek na sejm stanowił pozycję około 10 000 zł. Natomiast na sejm z 1601 r. brał ze sobą do Warszawy 31 worków z pieniędzmi, zawierających 11 862 zł 22 gr. Wielkich nakładów finansowych wymagały od Zamoyskiego również jego zmagania się z przeciwnikami politycznymi. Szczególnie wiele kosztowało go prowadzenie polityki antyhabsburskiej.

Porównanie wyżej przytoczonych sum wskazuje, jakie miejsce w działalności Jana Zamoyskiego zajmowały sprawy kultury i oświaty, jakie zaś inne — polityczne, wojskowe, osobiste. Rzecz prosta: nie kultura, nie nauka i nie oświata były najważniejszymi dziedzinami zainteresowań i aktywności Jana Zamoyskiego. Jednak lokata kapitału procentowała później bardzo nierównomiernie. Po tysiącach złotych strawionych na przykład na sejmach na kaptowanie adherentów pozostało tylko gorzkie wspomnienie w dziejach polskiego parlamentaryzmu. Po architekcie i budowniczym Zamościa, Bernardo Morando — dzieła, które po dziś dzień należą do skarbca naszej kultury.

---

prostu zdawał sobie sprawę z tego, że jego wysiłki nie mogą liczyć na powodzenie w konfrontacji z oświatą i wyklinając oświatę dążył do utrwalenia żywotności swojej sekty. To nieprawda, że sam był analfabetą. Skończył kilka oddziałów carskiej szkoły podstawowej, własnoręcznie pisał „gramoty do narodu" z proroctwami a swojego „zbawionego za życia, najwierniejszego przyjaciela i sługę" Aleksandra Danieluka ze wsi Kamień, uznał i ogłosił „pierwszym apostołem Pawłem", za to, że w latach trzydziestych wydał dwie broszurki i kilka ulotek, sławiących Eliasza. Ów „zbawiony za życia pierwszy apostoł" pisał na wstępie swego dzieła: „On, Eliasz przyszedł po to, by wiarę odnowić, podreperować, zgniłe wyrzucić a wstawić nowe. Jak dom stary odnawiają, tak i wiara nasza zestarzała się przez prawie dwa tysiące lat, rozsypuje się. I oto Ojciec Prorok Eliasz narodził się w ciele we wsi Grzybowszczyzna, a Duch Boży wstąpił w Niego z Nieba po błogosławieństwie Ojca Joana Kronsztadzkiego". Eliasz zapowiadał zbliżające się powtórzenie się ery biblijnej a równocześnie głosił, że nowa era biblijna już się rozpoczęła. Taka niekonsekwencja rykoszetem uderzyła w „pomazańca" i jego najbliższe otoczenie. Odłam najbardziej fanatycznych wyznawców wyciągnął z tego wniosek, że Eliasz jest „wtórnym Zbawicielem" i dla wiernego powtórzenia się wydarzeń nowotestamentowych usiłował Eliasza ukrzyżować, a „Janowi Chrzcicielowi", czyli Józefowi Łożnikowi ze wsi Ciełuszki, siekierą na pniu odrąbać głowę. Od tego czasu Eliasz nie pokazywał się bez sękatej laski a niebawem wydano mu zezwolenie na posiadanie pistoletu. Przechowywanie tego pistoletu stało się w 1940 roku bezpośrednią przyczyną aresztowania Eliasza.

* * *

— Goos-po-di poo-mi-łuuj...

* * *

Wydanie zezwolenia na broń nasuwa refleksje i domysły. Czy wydając je władze brały pod uwagę wyłącznie zagrożenie osobistego bezpieczeństwa obywatela Drugiej Rzeczypospolitej, Eliasza Klimowicza? Na wszystkich fotografiach i portretach na piersi „świętego" widnieje jasna wstążka jakiegoś odznaczenia. Jakie to odznaczenie, trudno określić, ale wszyscy pamiętający Eliasza okoliczni chłopi twierdzą, iż „Piłsudski dawał mu ordery". Biorąc pod uwagę przedwojenną politykę w stosunku do prawosławia, przyjąć chyba można, że Eliasz, jeśli nie był przez władze inspirowany, to na pewno był dalece tolerowany, jako ten, kto przeżywające w ówczesnej Polsce głęboki kryzys prawosławie rozwarstwia i sieje w nim zamęt. Jego antyoświatowa działalność, tworzenie ciemnogrodzkich fortec w białostockich wsiach, jego agitacja, hamująca kulturalny rozwój całych gmin, utrwalająca na Białostocczyźnie znamię „Polski B", w kalkulacjach ówczesnych polityków okazywała się na swoisty sposób opłacalna, chociaż popularność Eliasza była społecznie destrukcyjna i jawnie szkodliwa. Interesujące to zagadnienie, podobnie jak całe podłoże, na którym wykiełkowała i rozrosła się sekta eliaszowców — temat dla studiów socjologa, historyka i psychologa.

* * *

— Goos-po-di poo-mi-łuuj... — rozległo się po raz ostatni. Wszyscy podnoszą się z klęczek. Anna rozciera kolano, Pelagia szepcze coś do ucha Tatiany, Bazyli chyłkiem wycofał się do kuchni. Próbuję kierować od nowa nawiązaną rozmową, nie dopuścić do chaotycznej, zagmatwanej gadaniny, usiłuję pytaniami dotrzeć do mentalności rozmówczyń, zrozumieć ich stosunek do tego, co wykracza poza ich, ogrodzone żerdzianym płotem, podwórko. Bezskutecznie. Nie udaje mi się ani o piędź przedrzeć w zamierzonym kierunku. Każda próba, każde pytanie odbijane jest jednoznacznymi i wieloznacznymi zarazem odpowiedziami:

— Bo prorok tak nauczał...

— Bo prorok tak ustanowił...

— Bo święty Eliasz był święty...

Wraz ze stereotypowymi odpowiedziami coraz zaciekleje wpijają się w człowieka czarne oczy Pelagii, gotowej do gwałtownej repliki na okazanie najmniejszej wątpliwości i coraz bardziej nerwowo drży brunatna brodawka na jej gąbczastym, białym policzku, pokrytym siatką głębokich zmarszczek. Okrągłe plecy Tatiany coraz bardziej się zaokrąglają, ściśnięte usta wyginają się w wąski, zawzięty łuk, Anna nie powłóczy okaleczoną nogą, jest czujna i jakby się czai, by lada moment przyjść tamtym w sukurs... Lada chwila wszystko zacznie się od początku...

* * *

Z powrotem jesteśmy na podmokłej łące. Gumowe buciory Prokopczuka bezkarnie człapią po bajorach.

— Warto by tę łąkę zmeliorować — rzucam za siebie.

— Zmeliorować, rozumie się, warto by — śpiewnie potakuje Władysław — ale czy to najpilniejsze? U nas dotąd nie ma elektryki, do przystanku PKS trzeba przedeptać osiem kilometrów, a do punktu felczerskiego z dziesięć będzie... Tu panie, zadupie, jak się patrzy... Krugom zadupie...

Dochodzimy do oślizłych drągów na niemrawej strudze. Z przeciwnej strony wchodzi na nie malec. Granatowy fartuch, takiż beret, biały kołnierzyk, na plecach tornister. Zobaczył nas. Chwila namysłu i cofa się, ustępuje nam pierwszeństwa na drągach. Przeszliśmy. Malec założył kciuki za paski tornistra, podnosi w górę zadarty nosek i najwyraźniej oczekuje pochwały za uprzejmość.

— Dziękujemy! A jak ze stopniami? — klepię go po ramieniu.

— Czwórkę z rachunków pani mi postawiła!...

— To fajnie! — odzywa się Prokopczuk — A czyj ty syn?

— Mamy i taty — podpowiadam.

Malec wydyma wargi — niezadowolony. Za moment z drugiego brzegu strugi krzyczy:

— Ja Klimowiczów!

Klimowiczów, Klimowiczów... Niecierpliwie szukam czegoś w pamięci. Odnajduję: Eliasz Klimowicz... Zamajaczyła przede mną drobna figurka Tatiany, na twarzy poczułem przyśpieszony oddech, od domu krytego cynkową blachą dobiegał jej syczący szept: „Święty Eliasz rzekł raz na zawsze: niech przeklęte będą szkoły i książki, i litery, bo w nich pomiot Antychrysta"...

— Żuczki nisko latają — mruczy Władysław — znowu będzie lało...

**Feliks Z. Weremiej**

# Refleksje o edukacji

Dokończenie ze str. 1

konanie, że źródłem wszelkiego zła jest tamtejszy system szkolnictwa, który kształci i wychowuje nijakiego absolwenta dla nie znanego odbiorcy i do nie znanych zadań. Stąd nawoływanie do palenia szkół i do strajków szkolnych, by zniszczyć zmurszałe siedliska edukacji i zbudować inne, nowe, lepsze od gruntu.

Jeśli zaś idzie o nasze podwórko, to nie tyle charakterystycznym i reprezentatywnym, co symptomatycznym zjawiskiem są sławne już samookaleczenia żyletkami wśród młodzieży szkolnej w Morągu, zrelacjonowane w reportażu B. Kurowskiego w „Polityce" (1973, nr 28, s. 3). Pocięło się czternaścioro, podając różne przyczyny, *w sumie jednak czternaście krytycznych uwag o szkole*, chociaż *nikt z badanych, czyli z tych, co cięli się żyletkami (...) nie wykazuje poważniejszych odchyleń od normy zdrowia psychicznego.*

W świetle tych i innych zjawisk nie jest chyba ważne, jaki wariant jakiego modelu szkolnictwa zwycięży. Chodzi przede wszystkim o szkołę o wysokim poziomie nauczania i wychowania, odpowiednio wyposażoną, z 20—30 nauczycielami, z klasami nie zatłoczonymi. Ta wymarzona szkoła ma pełnić funkcję nie tylko dydaktyczno-wychowawczą, ale i opiekuńczą, pomagając rodzinie w opiece nad uczniem bez zwalania wszystkich obowiązków na dom i bez odciągania dziecka od domu.

W tym kontekście nie od rzeczy będzie uwypuklić ważną rolę nowoczesnego przedszkola, szkolnictwa specjalnej troski, szkoły dnia przedłużonego, a także szkoły przygotowującej do uczestnictwa społecznego i kulturowego, tudzież do powszechnego kształcenia wielokierunkowego na szczeblu średnim.

### RANGA NOWOCZESNEGO PRZEDSZKOLA

Wszyscy niemal rodzice dzieci do lat sześciu wzdychają, by przedszkole stało się powszechnie dostępne. Niestety, na razie polski wskaźnik dostępności przedszkola należy do najniższych w Europie (45%). Niemniej ranga przedszkola rośnie. Dawne wychowawczynie przedszkola są już w myśl nowej nomenklatury urzędowej nauczycielkami przedszkola, którym poczesne miejsce przyznaje Karta Praw i Obowiązków Nauczyciela. Dotychczasowe licea dla wychowawczyń przedszkoli zostaną przekształcone w studia wychowania przedszkolnego, otwierające drogę do stopni akademickich. Wychowanie przedszkolne staje się samoistnym kierunkiem w uniwersytetach i wyższych szkołach pedagogicznych, a dotychczasowe absolwentki liceów dla wychowawczyń przedszkoli będą mogły również studiować jako eksternistki. Myśli się już o masowym przyciągnięciu mężczyzn do pracy nauczycielskiej w przedszkolu i o uczynieniu przedszkoli ośrodkami kultury pedagogicznej rodziców i przygotowania do życia rodzinnego.

Nic dziwnego, że postulat lepszego wyposażenia i zaplecza naukowego dla przedszkola jest więc szczególnie na czasie. Przedszkole nowoczesne bowiem ma głównie przez zabawę wspomagać rozwój dziecka, uspołeczniać je, wdrażać do pokonywania trudności, przygotowywać do szkoły, unikając nawrotu do metod infantylnych i nie naśladując mechanicznie metod szkolnych (wypowiedź wiceministra J. Wołczyka w „Życiu Warszawy" z 11 VII 1973).

### SZKOLNICTWO SPECJALNEJ TROSKI

Obecnie nierzadko dzieli się uczniów na nauczalnych, częściowo nauczalnych i nienauczalnych (kategorie dydaktyczne). Obok tego rozróżnia się osobników wychowalnych, częściowo wychowalnych i niewychowalnych (kategorie teoriowychowawcze). Uwzględniając aspekty zarówno dydaktyczne, jak wychowawcze, można by jeszcze wyodrębnić: 1) nauczalnych i wychowalnych, 2) częściowo nauczalnych i niewychowalnych itd. (aż od dziewięciu kombinacji).

Na skutek niedoinwestowania szkolnictwa specjalnego niejeden nienauczalny i niewychowalny sprawia poważne kłopoty w szkołach normalnych, opóźniając i utrudniając proces dydaktyczno-wychowawczy. Z drugiej strony — jak stwierdza prof. J. Konopnicki — nauczyciele dziesięciokrotnie więcej uczniów niż psychologowie typują do szkół specjalnych, wiedzeni widać instynktem samozachowawczym i chęcią pozbycia się kłopotliwych wychowanków.

Tak czy owak, doinwestowanie szkolnictwo specjalnego i rozbudowanie sieci placówek psychologów szkolnych staje się nieodłącznym atrybutem szkolnictwa nowoczesnego.

### ZADANIA ZMODERNIZOWANEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ

W ramach współpracy ze środowiskiem pozaszkolnym, a zwłaszcza domem i rodziną, nowoczesna szkoła podstawowa przedłuża dzień uczniom, którzy tego potrzebują, bo są pozbawieni należytej opieki domowej (tzw. szkoła dnia przedłużonego). O ile do pory obiadowej przeważa w niej funkcja dydaktyczno-wychowawcza (nauczanie i kształtowanie postaw), o tyle po południu dominuje funkcja opiekuńcza (kierowanie uczeniem się i godziwym spędzaniem wolnego czasu).

Na uwagę zasługuje system aktywizacji ucznia przez współpracę społeczną i partnerstwo ze starszymi — nie tylko nauczycielami, ale i rodzicami. Dwanaście szkół poznańskich pod kierunkiem prof. H. Muszyńskiego eksperymentuje na tym polu, a system stanie się ogólnokrajowym w nadchodzącym roku szkolnym. W myśl tej koncepcji szkoła przygotowuje do życia społecznego przez stwarzanie sytuacji podobnych do tych, w jakich uczeń znajdzie się w przyszłości. Stawia się tu na samorządność, a akcja przedwyborcza i same wybory do samorządu w nastroju odświętnym i przy urnach nabierają szczególnego znaczenia. Pedagogizacja rodziców — to nie pogadanki dla nich, ale wciąganie ich do życia szkolnego, na spotkania, wywiady i współpracę. Wybitniejsi uczniowie będący przedmiotem specjalnych zainteresowań nauczycieli stają się „fachowcami" (biegłość w praktyce) lub „specjalistami" (biegłość teoretyczna w określonej dziedzinie). Z tych ostatnich wybiera się tzw. asystentów przedmiotowych jako współrealizatorów zajęć dydaktycznych. Poza zadaniami szkolnymi inspiruje się tu uczniów do wykonywania zadań gospodarskich w domu w ramach pomocy rodzinie. Klasa tworzy gromadę dzielącą się na samorzutnie dobierające się zespoły sześcioosobowe przyjaciół z przywódcą na czele, symbolika, nazwami i swoistą obrzędowością. Dzieci wymagające specjalnej opieki umieszcza się w półinternacie. Nauczycielstwu przyświeca dewiza, że system zachęt lepiej wychowuje niż system zakazów i rygorów.

Koncepcji powyższej należałoby życzyć, by nie skostniała w rutynie, gdy się już opatrzy i gdy przestanie być czymś nowym, świeżym i pasjonującym. Przy zbytniej życzliwości nauczycieli i rodziców grozi systemowi prof. Muszyńskiego liberalizm i pajdokracja. W razie zaś zbytniego narzucania się dorosłych ze współpracą, tchnąć będzie rygoryzmem i koszarową konsekwencją.

Oczywiście, taka wielostronna szkoła nie do pomyślenia jest w małym ośrodku wiejskim, natomiast stanie się czymś realnym jako zbiorcza szkoła gminna. Oby tylko pomyślnie rozwiązano dowożenie wszystkich dzieci do niej!

### PAMFLET NA SZKOLNICTWO PONADPODSTAWOWE

Główna przyczyna powszechnego niezadowolenia ze szkoły średniej tkwi w błędnym przeświadczeniu, że ma ona zastąpić dom z rodziną i że ma przygotować do zawodu. Tymczasem jedne zawody się zmieniają, drugie znikają, toteż jedna trzecia absolwentów pracuje niezgodnie z przeszkoleniem i kwalifikacjami nabytymi w szkole — zwłaszcza zawodowej. Wynika stąd poczucie zmarnowania czasu na niepotrzebną naukę i studia, zgorzknienie i stan frustracji, wyobcowanie z zawodu i otoczenia, a jednocześnie zawiść w stosunku do tych, którym udało się znaleźć pracę właściwą.

Tymczasem zadaniem szkoły średniej jest przygotowanie nie tyle do zawodu, co do życia zmiennego i dynamicznego, w którym trzeba nieraz przerzucać się z placówki do placówki, z regionu do regionu, z zawodu do zawodu, przekwalifikowywać się i ustawicznie się dokształcać. Należałoby więc w szkole średniej stworzyć uczniowi możność wyboru różnych kierunków, by dobierał sobie treści kształcenia tak, jak się dobiera kostki według upragnionego wzoru.

Wszelako szkoły zawodowe o ciasnej specjalizacji nie mają czasu na wielostronne kształcenie ogólne, toteż dostarczają społeczeństwu równie ciasnych fachowców, którym z braku należytego wykształcenia ogólnego trudniej przychodzi przekwalifikowywanie się i kształcenie ustawiczne. Poza tym szkolnictwo zawodowe jest kosztowniejsze niż ogólnokształcące i wielokierunkowe, wymaga bowiem warsztatów, maszynerii, tworzyw i masy laboratoriów. Nie nadąża też za postępem epoki rewolucji naukowo-technicznej. Przecież realizuje raczej potrzeby minionego pięciolecia wtedy, gdy się już konstruuje nowy perspektywiczny plan pięcioletni.

Szkół zawodowych było dotychczas więcej niż „ogólniaków", a ponadto przyznawały więcej stypendiów i miejsc w internatach. Nic dziwnego, że odciągały młodzież robotniczą i chłopską od szkół ogólnokształcących, które bądź co bądź dostarczają czterech piątych studentów szkolnictwu wyższemu. Nieodparcie zatem nasuwa się wniosek, że powinno się ograniczyć rozwój specjalistycznego szkolnictwa zawodowego na rzecz szkół wielokierunkowych o wspólnym trzonie przedmiotów ogólnokształcących. Innymi słowy uczniowie mieliby wspólne zajęcia audytoryjne w większych grupach, po czym rozchodziliby się na wybrane zajęcia specjalistyczne w mniejszych grupach do sal ćwiczeniowych, seminaryjnych, pracowniany ch, laboratoryjnych, klubowych itd. Szkoła taka otworzyłaby uzdolnionej młodzieży robotniczo-chłopskiej szerszą drogę do szkół wyższych i umożliwiłaby jej edukację permanentną, do której obecne szkolnictwo zawodowe na ogół nie przygotowuje.

Obecnie większość uczniów szkół średnich stwierdza, że taki a nie inny typ szkoły wybrano sobie z przypadku, bo: 1) innej nie było w okolicy, 2) wypadało jak najszybciej zdobyć zawód, by ulżyć rodzinie i uniezależnić się, 3) w innej szkole nie było miejsc, 4) do innej szkoły nie zdało się egzaminu wstępnego, 5) namówili koledzy, 6) taka już jest moda na tę szkołę itp. W szkole wielokierunkowej (wielowydziałowej) przypadkowość taką można by było ograniczyć do minimum.

* * *

Na zakończenie warto by dodać, że najlepszy kształt szkolnictwa i najlepsze nauczycielstwo nie sprosta zadaniom bez współracy rodziny, organizacji młodzieżowych, wojska, zakładu pracy, organów kontroli społecznej i państwowej tudzież środków masowego przekazu. Myśl tę zawierają wszystkie trzy dokumenty, nad którymi toczy się dyskusja ogólnonarodowa: Raport Komitetu Ekspertów, tezy VII Plenum KC PZPR i Uchwała Sejmu PRL o zadaniach narodu i państwa w wychowaniu młodzieży.

**Bohdan Komorowski**

# Zdolni do wszystkiego

Dokończenie ze str. 1

sunek ucznia do obowiązków szkolnych, jego aktywność społeczną i kulturę osobistą.

Uczeń otrzymuje ocenę ze sprawowania w oparciu o każde z tych trzech kryteriów.

2. Oceny ze sprawowania wyrażają jedynie opinię o zachowaniu się ucznia; nie wpływają na oceny z przedmiotów nauczania, na promowanie ucznia do klasy wyższej.

3. Przy ustalaniu ocen ze sprawowania należy kierować się szczegółowymi wskaźnikami zawartymi w „Wytycznych do pracy wychowawczej w szkołach ogólnokształcących i zawodowych związanej ze stosowaniem rozszerzonej oceny ze sprawowania ucznia", stanowiących załącznik do niniejszego zarządzenia.

Ponieważ szkoły podstawowe są szkołami ogólnokształcącymi, więc wszystko, o czym mowa, dotyczy także i uczniów tych szkół.

* * *

Uczennica klasy siódmej, lat czternaście, dobrze zbudowana, wysoka, poznaje okazyjnie chłopców po zawodówce, dodaje sobie niewinnie dwa lata, uzyskuje od ojca, na złość matce, zezwolenie na szkolną zabawę i idzie z chłopakami na ubaw do klubu. Około godz. 22 zatrwożona matka nareszcie odnajduje córkę i wyprowadza za rękę z klubu. Ale za drzwiami ciemna ulica sprzyja podpitej dziewczynie, która z zemsty za poniesioną „hańbę" — pobiła matkę. Ciąg dalszy w domu, gdzie ojciec pomógł córce ukarać matkę za sprzeciwianie się jego zezwoleniu. Epilog w sądzie. A szkoła? Czy ma prawo wnikać w sprawy rodzinne, czy ma obowiązek ocenić zachowanie się swojej uczennicy poza szkołą? Precedens wcale nie tak wyjątkowy jakby się wydawać mogło. I nie tylko o ocenę ze sprawowania chodzi.

Zarządzenie nr KO-421-1/73 ma charakter instruktażowy, ale jego zastosowanie i konsekwencje będą wnosić rewolucyjne efekty. Utarło się bowiem od pokoleń przekonanie, że jedyną stosowną oceną ze sprawowania jest piątka, a wszystko co poniżej to „zemsta nauczycieli". Teraz zaś trzeba zrozumieć, że nieprawdą jest, jakoby po szkolnych korytarzach i klatkach schodowych biegały „superideały".

* * *

Obecnie zrywa się z fikcją. Nie będzie tylko piątek ze sprawowania i tylko dwójek, będzie natomiast stosowana skala słowno-opisowa, która punktem wyjścia czyni ocenę dobrą.

Ocenę dobrą „otrzymuje uczeń, który spełnia wymagania zawarte w treści oceny, zachowuje się poprawnie, popełnia jednak drobne uchybienia". I chyba słusznie uczeń otrzymał prawo do ziemskiego i ludzkiego bytowania. Wprawdzie nie nadaje się już do ustawienia na cokole w charakterze pomnika pod tytułem „wzorzec dla potomności", ale przecież prawie każdy popełnia drobne uchybienia. W Lublinie, liczącym sobie 270 000 mieszkańców, jest tylko kilka pomników, aczkolwiek na cokole żadnego z nich nie stoi żywy człowiek. Z jakim czołem więc stawialiśmy takie wymagania ogółowi uczniów? Na olimpiadzie przyznawane są tylko trzy medale, buław marszałkowskich jest kilka, aczkolwiek nosi ją w plecaku każdy żołnierz.

Przyjmuje się więc dwie oceny wyższe od „dobrej".

Sprawowanie „wyróżniające" to nota dla tego ucznia, który — spełniając wymagania zawarte w treści oceny — wyróżnia się w niektórych dziedzinach. Bardzo humanistyczne podejście. Nie musi wyróżniać się we wszystkich dziedzinach życia szkolnego i pozaszkolnego — co więcej, może postawić sobie za zadanie wyróżnienie się w tej dziedzinie, którą sam sobie wybierze.

Sprawowanie „wzorowe" jest oceną szczytową, otrzyma ją uczeń, który bez zarzutu i systematycznie spełnia wszystkie wymagania zawarte w treści oceny, a którego zachowanie może służyć jako wzór innym uczniom. Czy byli tacy dotychczas? Byli. To właśnie ci, których wyróżniało się pamiątkową książką czy inną nagrodą od komitetu rodzicielskiego. Więc rzeczywiście 10—20% ogólnego stanu uczniów.

Przyjmuje się jednak także dwie oceny niższe od stanu zadowalającego. Ocenę „odpowiednie" otrzymuje uczeń, który narusza obowiązujące normy zachowania szkolnego. I chociaż takiej oceny dotychczas nie było, to ilość uczniów, zasługujących na taką ocenę w oczach kolektywu uczniowskiego, wyniosłaby orientacyjnie 15—25 proc., a w oczach nauczycieli 10—15 proc. Tu ujawnia się zjawisko typowe — uczniowie sami dla siebie są bardziej surowi niż nauczyciele, gdyż lepiej się znają.

Ocenę „nieodpowiednie" otrzymuje uczeń, który bardzo rzadko spełnia wymagania zawarte w treści oceny, popełnia rażące uchybienia, a postępowanie jego bywa szkodliwe dla otoczenia, oraz gdy wszelkie środki wychowawcze stosowane przez jego kolegów, nauczycieli i rodziców względnie opiekunów nie odniosły skutku. Czy są tacy uczniowie? Niestety są, a chociaż wyrazi się to tylko ułamkiem procentu, to oddziaływanie takich uczniów jest znane.

* * *

W pedagogice współczesnej znajdują coraz większe uznanie i zastosowanie: profilaktyka, współwychowanie, rehabilitacja. Ma to odbicie w omawianych „Wytycznych" gdzie czytamy: „Otrzymana przez ucznia ocena ma charakteryzować w sposób możliwie obiektywny jego zachowanie w danym okresie. Podstawę oceny stanowią nie jego wykroczenia, lecz wysiłki zmierzające do osiągnięcia poprawy w zachowaniu". Sformułowanie to jest przepojone duchem humanizmu — dziecko ma prawo do popełnienia błędu, ma prawo także do poprawy.

Jak ustala się oceny? Ponieważ zasadnicze życie w społeczności szkolnej przebiega przede wszystkim w kolektywie klasowym, albo raczej w kolektywie oddziałowym, więc i tam rozpoczyna się tryb ustalenia oceny. Każdy uczeń składa wobec kolektywu sprawozdanie z wykonywania poleconych mu zadań czy obowiązków, relacjonuje jak je wykonał, co mu pomagało, co przeszkadzało, jak będzie pracować w przyszłości — i to jest pierwszy stopień: samoocena. Nie chodzi tu o „samokrytykę", lecz o prawo i możliwość wyrażenia opinii o własnym zachowaniu.

Dzieci w kolektywie oddziałowym znają się dokładnie, poradzą, pomogą przypomnieć, ustalą formy pomocy w toku otwartej, koleżeńskiej i rzeczowej dyskusji. Tu sprecyzują się wymagania stawiane przez zespół, tu winien także wykształtować się życzliwy stosunek kolektywu wobec jednostki. I tak zwykle bywa. To jest drugi stopień: ocena przez klasę. Stopień następny — to wyrażone wobec kolektywu klasowego zdanie wychowawcy, jawne, umotywowane, ze wskazaniem drogi poprawy. Zasadniczo rada pedagogiczna zatwierdza tak wystawioną ocenę. Przy ocenie „odpowiednie" lub „nieodpowiednie" uzasadnienie jest już dokładne, rada analizuje, wskazuje środki, decyduje.

A co rodzice? Na wsi i w małych miasteczkach sprawa jest łatwiejsza, wszyscy się znają, w oddziale jest do dwudziestu uczniów. Trudniej jest w większych miastach, gdy w oddziale jest około czterdziestu wychowanków. Zasadniczo zdały tu egzamin dni konsultacji wychowawcy. Co tydzień, w ściśle określonym czasie i miejscu, wychowawca spotyka się z rodzicielską radą oddziałową i zainteresowanymi rodzicami. Słowo „zainteresowanymi" wyraża właśnie wszystko. Jeżeli rodzice są zainteresowani swoim dzieckiem, to bez wzywania, znając termin konsultacji wychowawczej, przychodzą i chociaż co dwa tygodnie spotykają się z wychowawcą. Gdy dziecko wie, że rodzice interesują się nim na bieżąco, samo uczy się lepiej, dba o przestrzeganie regulaminu uczniowskiego, zachowuje się dobrze.

Gorzej jest wtedy, gdy wychowawca chcąc porozmawiać z rodzicami bezpośrednio po ujawnieniu przekroczenia, wzywa ich do szkoły na konsultację, a rodzice nie przychodzą. I wtedy, gdy można sprawę załatwić szybko, omówić metody postępowania i zapobiegania następnym wykroczeniom, udzielić dziecku pomocy — właśnie wtedy zainteresowanych rodziców brak. W uczniu wzrasta zuchwałość, wykroczenia nawarstwiają się, sytuacja zaognia się. Gdy wreszcie tą czy inną drogą ojciec dowie się o wszystkim, jego ambicja jest podrażniona i zamiast środków wychowawczych wywołuje awanturę, stosuje karę cielesną, co czasem doprowadza do ucieczki z domu.

Nie w styczniu czy w czerwcu przychodzi czas na zainteresowanie się rodziców własnym dzieckiem, lecz już we wrześniu, gdy wychowawca zwołuje pierwsze zebranie rodzicielskie, gdy zapoznaje rodziców z wymaganiami władz oświatowych i szkoły.

W nadchodzącym roku szkolnym będą tylko dwa okresy, będzie więc dość czasu, aby między jednorazowym błędem popełnionym przez ucznia, a dniem oceny, było miejsce na faktyczną poprawę i zatarcie winy.

* * *

Stosunek ucznia do obowiązków szkolnych pojmujemy jako stałe uczestnictwo w pracach związanych z procesem uczenia się, jego stosunek do podstawowego obowiązku, którym jest nauka — a więc: systematyczne i punktualne uczęszczanie na lekcje i zajęcia, każdorazowe usprawiedliwienie nieobecności i spóźnień, stałe przygotowywanie się do zajęć lekcyjnych i pozalekcyjnych, czynny udział w lekcjach i zajęciach, rozwijanie własnych zainteresowań.

Aktywność społeczną ucznia należy pojmować jako konstruktywne uczestnictwo w życiu kolektywu szkolnego. Tu miejsce na dobrowolne podejmowanie zadań przyjmujących jako cel dobro kolegów, oddziału, klasy, szkoły, środowiska. Ważne są tu nawet najdrobniejsze poczynania kształtujące postawę społeczną. Oto zakres: czynny udział w działalności organizacji uczniowskiej, wywiązywanie się z podjętych zadań, wypełnianie dyżurów, czynny udział w pracach społecznie użytecznych, umiejętność współdziałania w zespole, szacunek dla pracy ludzkiej i ludzi pracy, poszanowanie mienia społecznego i osobistego, dbałość o estetykę otoczenia, umiejętność łączenia pracy społecznej z innymi obowiązkami w szkole i poza szkołą.

Kulturę osobistą pojmujemy jako umiejętność współżycia, kulturę słowa, sposób bycia, przestrzeganie zasad bezpieczeństwa, dbałość o zdrowie i higienę. Tu mieszczą się także: uczciwość w kontaktach z dorosłymi i rówieśnikami, uczynność wobec potrzebujących pomocy, właściwy ubiór szkolny, wykonywanie zarządzeń porządkowych szkoły, nieuleganie złym wpływom otoczenia i nałogom, przestrzeganie przepisów bezpieczeństwa właściwych miejscom, gdzie się znajdujemy.

Jeżeli wprowadzona obecnie zróżnicowana ocena ze sprawowania ma służyć integracji oddziaływań wychowawczych, wspomagać tworzenie jednolitego systemu wychowawczego, to aby zdała swój społeczny egzamin, musi być znana powszechnie nauczycielom, rodzicom i uczniom.

**Marian Narcyz Listowski**

# Nad rzeką

Bogdan Madej

TEN marsz jest za prędki, myśli. Spiesznie przecinają rynek, upchany modnie zielenią wszelkiego rodzaju. W bezładzie krzewów kryje się wstydliwie postument, z którego w pięćdziesiątym roku strącono hrabiego Hompesza, fundatora miejscowego koszykarstwa i co najmniej kilkudziesięciu bękartów. Wzdłuż alei w dzikawych krzewach stoją ławki. Na ezwartej, nieruchomo jak strącony posąg, siedzi pięćdziesięcioletni mężczyzna z twarzą w siwiejącej szczecinie i oczach złowionych przez wielkie oczodoły. Mężczyzna patrzy przed siebie omijając wzrokiem własne niechlujstwo i zapuszczenie nie tknięte od lat ręką kobiety. W miarę jak się do niego zbliżają, oczy mężczyzny nieruchomieją w głębi łysawej czaszki, bladoniebieskie i galaretowate. Ręce bezbronnieją na udach, ale palce skaczą i szukają wyświechtanych wejść do kieszeni.

Ciężka brew ojca waruje ukośnie nad lewym okiem.

— Kto to? — pyta, jakby nie znał mężczyzny.

— Słomiany — odpowiada ojciec, też jakby bez pojęcia, że go obaj znają.

Rozdętymi chrapami wciąga powietrze, prycha przez nos serią dźwięków biorących początek w tchawicy i gra zduszonym chrząkaniem: ceremoniał obmacywania pogody na dwie najbliższe godziny.

— Miał żonę w partyzantce, nie wiedział o tym. Ktoś doniósł Niemcom, sami doszli, nie wiadomo.

Ojciec i syn przyglądają się jednocześnie uliczce odbiegającej od rynku; ciąg małych ogródków zesznurowanych do utraty tchu płotami, siatkami i chodnikami biegnącymi wzdłuż domów plotkarskiej rolniczej mieściny. Ojciec porusza brwią jak przetrąconym skrzydłem, on patrzy za siebie, ale mężczyzny już nie widać. Przypomina sobie wszystko, co wie: sprawa Słomianego od wielu lat jest martwa. Ojciec wycisza chrząkanie.

— Ożenił się przed wojną.

To wie. Słomiany ubiegł wojnę o rok. Młody, niepozorny, jednak stała posada, napiwki: eksponowana pozycja w takim miasteczku. Dorota, czarna i drobna, pochodziła z pobliskiej wioski. Nie miała w sobie nic z tępoty i zahukania młodej wiejskiej dziewczyny roku trzydziestego ósmego. Chodziła do tutejszego gimnazjum, matka odebrała ją ze szkoły natychmiast po śmierci męża, pół roku przed świadectwem dojrzałości. Wróciła na wieś do pomocy bratu w gospodarstwie. Czy Słomianego znała jeszcze w czasach szkolnych, czy poznała go na którejś niedzielnej zabawie w miasteczku, w pobliżu fabryki terpentyny i kalafonii, znajomość nie była długa. Na propozycję małżeństwa odpowiedziała Słomianemu przychylnie i parę miesięcy później zamieszkała z nim razem przy poczcie, w starym drewnianym budynku, gdzie w czternastym roku kwaterował łaskawie austriacki generał, któremu co wieczór grywała do kolacji orkiestra wąsatych honwedów.

Ulica prowadzi do cmentarza. Po lewej pół hektara przetrzebionego lasu. W rzadkich drzewach stoi willa wdowy po doktorze Hernichu, okupacyjna siedziba niemieckiej żandarmerii. Zamknięte okna wywołują złudzenie, że nikt w niej od dawna nie mieszka, willa znajduje się w stanie zimnego katakumbicznego rozkładu. Wymalowana w pasy bladego różu i brudnej gnijącej żółci, z odpadającym tynkiem, robi wrażenie ostatecznego triumfu ludzkiego i boskiego przekleństwa.

Mijają willę i cmentarz. Drzewa w lewo od szosy są stare, w zgrzybiałej reumatycznej korze. Nie wykarczowane pniaki sterczą z próchnicy i igliwia jak zepsute zęby. Sosny z ostatniego wyrębu leżą pokotem, las jest żałosny jak skład gotowych trumien, a głos jego marny jak dech starucha. Ojciec z uniesioną brwią manewruje między pniakami, przygląda się każdemu z osobna, szacuje na oko ich wiek.

Kiedy wybuchła wojna, żona Słomianego była w ciąży. Listonosz ruszył na front, gdzie był do połowy września, a od połowy, skołowany jak inni, pętał się po kraju drugie dwa tygodnie. Wrócił w cywilnych łachach, przebrał się w mundur listonosza i dalej roznosił listy. Córka urodziła się równo tydzień po zajęciu przez żandarmerię willi Hernicha, dokąd coraz częściej prowadzono ludzi znanych w mieście i takich, których ujrzano tu pierwszy raz dopiero przy tej okazji.

Rok później, w czterdziestym pierwszym, torami dzielącymi miasto na dwie nierówne części, pędziło w czerwcu na wschód po kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt pociągów wojskowych dziennie. Słomianą widywano w miejscu, gdzie tory już dość daleko wbiegają w las. Zbierała jagody. Dziecko spało w sosnowym cieniu i nie budziło się, kiedy na torach grzmiały platformy z czołgami, samochodami i działami, a żołnierze pokrzykiwali przez łoskot do kobiety, albo, rzadziej, rzucali suchary i słodycze. Słomiana przynosiła do domu dzbanki jagód, kiedy te się skończyły, zbierała grzyby, jesienią chodziła po gałęzie. Nikt się nie dziwił zapobiegliwości, czas był ciężki. W letnie popołudnie, w czterdziestym trzecim roku dwóch funkcjonariuszy żandarmerii doprowadziło ją prosto z lasu do willi Hernicha. Była sama, dzieckiem opiekowała się jej matka.

Teraz rozpuszczają nogi na dobre. Ojciec zerka przed siebie, w górę i na boki, w tchawicy mu gra, ciągnie powietrze, chrząka, wygląda jak lokomobila pod pełną parą. Idą lasem, sosny dla odmiany pocięte są tu żywicującymi bliznami. Gwizd niewidocznej wilgi tnie powietrze, odzywają się ptaki, z których nazwaniem zawsze ma kłopot. Ojciec czuje się w lesie jak w domu. Przystaje, gwiżdże, wilga odpowiada. Z korony drzewa wyczarowuje się kos, kuca na rozkiwanej gałęzi i patrzy w dół chytrymi oczkami tenora-intryganta. Dzięcioł kuje wsparty na ogonie krótkim i mocnym jak saperska łopatka: stukanie idzie przez cały pień. Ojciec zbliża się do drzewa, chowa za plecami zapoconą czapkę, okap brwi przechyla się razem z głową.

— Że też nie dostanie wstrząsu mózgu!

Słomiany o aresztowaniu żony dowiedział się w czasie obchodu. Zjawił się w ponurej willi, wyręczając Niemców, którzy byliby i tak po niego przyszli. Wprowadzony do środka, na pytanie kim jest, odpowiedział pytaniem, czego chcą od żony. Dostał w twarz, w upadku powstrzymał go jakiś młodzik, a trzeci mężczyzna uderzył go z lewej rozbijając mu nos. Niemcy zażądali, aby przyznał się do współpracy z partyzantami i powiedział, kto poza nim i żoną zbierał dla nich informacje. Ponieważ długo nie mógł się w tym połapać, zrobiono mu uprzejmość informując, że jego żona od dawna śledziła ruchy wojsk. Pobitego, ogłuszonego oskarżeniem, sprowadzono do piwnicy. Pierwsze godziny spędził liżąc bezmyślnie wargi, a potem, nadal siedząc w piwnicy, usłyszał pierwszy krzyk masakrowanej żony. Słomiana zaprzeczała wszystkiemu, bito ją więc dokładniej, niż męża. Nazajutrz przesłuchiwano ich jednocześnie. Słomiana miała wargi porozcinane i obrzękłe, jej wzrok uporczywie omijał ogłupiałego męża.

Były tłumacz z żandarmerii powiedział po wojnie, że kiedy Niemiec uderzył żonę pierwszy raz, Słomiany skoczył na pomoc, ale szybki jak sprężyna gestapowiec obalił go w skoku, leżącego skopał, podniósł i uderzeniem rzucił pod zakratowane okno. Słomianą bito, póki nie pękła na niej fildekosowa bielizna i skóra.

Działo się to rano i powtórzyło wieczorem. Od Słomianego nadal żądano ujawnienia wspólników i miejsca, gdzie przekazywali materiały, od niej poza tym potwierdzenia, że pracowali razem. Ponieważ i teraz nie powiedziała słowa, na jej oczach wybito mężowi większość zębów, skopano, otrzeźwiono wodą i oćwiczono nagiego rozcinając mosznę, z której pod własnym ciężarem wypadły jądra.

Trzeciego dnia był nieprzytomny, krzyczał z bólu. Właśnie wtedy potwierdził, że jego żona pracowała dla konspiracji i że razem mieli kontakty z partyzantami. Podpisałby się również pod zeznaniem, że dowódcą grupy była jego trzyletnia córka. Słomiana po dalszych badaniach nie była podobna do młodej kobiety. Niczego nie udało się z niej wydobyć. Niemcy zrezygnowali z dalszych przesłuchań, nie pozwalał na to jej stan. Nie mogli jej dokądkolwiek przewozić, nie przetrzymałaby podróży. Zastrzelono ją w lesie, w miejscu, gdzie została aresztowana.

Do Słomianego wezwano doktora Hernicha, który mu pocerował rozsieczoną skórę i po tygodniu postawił na nogi. Dwa dni później, o zmierzchu, poprowadzono go na stację, żeby przewieźć do Rzeszowa. Ogłuszył pięścią konwojenta, przemknął przez cmentarz i znikł w ciemniejącym lesie. Niemcy wcale go nie szukali.

Zbliżają się teraz do rzeki. Powietrze gorące jest i lekkie. Ścieżka kluczy między zbożami, wrasta w trakt i nad wodą przemienia się w prom i rozwieszoną nad rzeką stalową linę. Przewoźnik, były woźny żandarmerii, z drągiem w potężnych łapach, stoi wrośnięty w pokład — rzeczny bóg z otwartą gębą, spartem żółtym od śliny, oczy czerwone od słońca i wiatru. Dwa konie przy dyszlu łupią kopytami drewniany pokład. Z daleka od pasażerów, przy bębnie z nawiniętą liną, siedzi Słomiany i ściska butami pusty worek. Przewoźnik odpycha prom od brzegu. Bloki z piskiem ślizgają się po linie łączącej oba brzegi. Prom ustawia się skośnie do nurtu, woda popluskuje i głuszy szum lasu.

— Jak ci tam idzie? — pyta ojciec, kiedy prom wpływa na środek rzeki.

Zakręt w zieleni brzegów błyszczy jak metal. Nie odpowiadając ojcu spogląda na zegarek, w pół do piątej. Brzeg się zbliża. Ręka przewoźnika czeka na korbie bębna z liną, druga wsparta na burcie, obie ciężkie, nieruchome i nieme jak twarze zmęczonych ludzi. Słomiany garbi się na burcie, niechlujny i zapuszczony — obcy wszystkim, podobnie jak w mieście chowa przed ludzkim wzrokiem ręce, jakby nosiły znamię zrodzonego przez niego nieszczęścia. Blisko widnieje jego twarz, martwa, odpychająca bezruchem.

Po dwóch tygodniach zwierzęcego kluczenia lasami zjawił się u teściowej, która uciekła z dzieckiem na wieś po aresztowaniu córki. Teściowa ujrzawszy go w furtce, rozjazgotała się na całe podwórze, nie mógł się w tym połapać. Dziecko rozbeczało się i uciekło z jego rąk do babki. Zwabiony hałasem szwagier złapał widły i ruszył na niego. Zabroniono mu wstępu na obejście, odmawiając prawa do jakiegokolwiek miejsca na ziemi.

Wymknął się stamtąd bardziej zaskoczony niż oburzony. Klucząc lasami doszedł do wniosku, że według nich winien jest śmierci żony. Najpierw go to zdumiało, potem przeraziło. Był bezsilny, udowodnić niczego nie mógł, tym bardziej, że nic nie pamiętał z ostatniego przesłuchania. Nikogo teraz z miasta nie widywał, nie było kogo przekonywać o niewinności.

Nie tropiony ukrywał się cały rok. Od czasu do czasu wstępował do okolicznych wiosek, tym odleglejszych, im dalej z miesiąca na miesiąc wędrowała wieść, że zadenuncjował żonę — zdziczały, głodny i napiętnowany jak przestępca.

Kilka dni po ucieczce Niemców wrócił do miasta, żeby doprowadzić do ładu swoje sprawy, upomnieć się na poczcie o pracę, uporządkować dom, odebrać dziecko. Dom zastał pusty i splądrowany, wybite były okna i zaciekał dach obrany z dachówek. Pracy na poczcie nie dostał, o powrocie dziecka nie było mowy. Tydzień później ktoś znalazł go w lesie. Był nieprzytomny, miał rozbitą głowę, włosy zlepione skrzepem przypominały olbrzymią zimową czapę.

I tym razem wykurował go doktor Hernich, przyjmujący pacjentów na powrót w swojej willi. Doradził Słomianemu, żeby na jakiś czas wyniósł się z miasteczka. Ten jednak trzymał się swego z uporem, jakby pobyt w tym mieście miał być dowodem prawdy. Szwagier, korzystając z aplauzu miejscowych i bezkarności, odgrażał się, że przy następnej okazji załatwi go skuteczniej. Córka od czasu do czasu zjawiała się w mieście uczepiona spódnicy babki, ale go nie poznawała. Kiedy chciał się do niej zbliżyć, teściowa warczała groźnie, a ludzie byli gotowi do samosądu. Parę razy po nocach wybijano mu szyby, przecinano sznur z suszącą się bielizną, pracy dalej nie miał, nikt nie chciał mu powierzyć nawet rąbania drzewa.

Doprowadzony do ostateczności myślał o jakimś procesie, co mu znów odradził doktor Hernich, jedyny opiekun i jałmużnik Słomianego. Szermujący plotką i domysłami byli nieuchwytni, całego miasta skarżyć nie mógł. Gdyby nawet było o co zahaczyć, zabrakłoby wiarygodnego świadka.

Znów zaczął się włóczyć po okolicznych wioskach w poszukiwaniu zarobku, ale jego wina szła za nim krok w krok jak nadgorliwy kurator. Zmożony w końcu bezsilnością i niechęcią ludzi występujących solidarnie przeciw niemu, pozbawiony perspektyw jakiego takiego urządzenia się i wycieńczony doskwierającą nędzą, wyjechał w opolskie.

Wrócił w roku czterdziestym dziewiątym, nieco inny, odmłodzony, pewniejszy siebie. Przyjechała z nim młoda kobieta, która nazajutrz wyszorowała dom, następnego dnia wyprała bieliznę i rozwiesiła przed oknem jak znak szczęśliwego powrotu, a trzeciego, powziąwszy od miejscowych pewność, w jakich okolicznościach zginęła jego żona, zalała wodą ogień pod garnkiem z kartoflami, podeptała w kącie upraną dzień wcześniej bieliznę i uciekła pierwszym pociągiem, ze wstrętem, bez pożegnania i wyjaśnień.

Od jej ucieczki mieszkał sam. Po paru miesiącach dzięki staraniom Hernicha znalazł pracę w koszykarni, ale ludzie w dalszym ciągu uciekali od niego jak od zarazy. Rewanżował im się ponurym milczeniem i nie ryzykował już prób wprowadzenia do domu jakiejkolwiek kobiety. Jego wina z biegiem czasu stawała się mniej jednoznaczna, ale przez to wcale nie dyskusyjna. Po paru latach do istniejących dodano kolejną opowieść, która wywołała wpierw wątpliwości, ale powtórzona wielekroć przerosła inne, gdyż w mieście zabrakło rozsądnego sprzeciwu, a Słomiany, jakby pogodzony ze wszystkim niczego nie prostował.

Mówiono, że Słomiana, zdegustowana impotencją męża, uciekała od niego do lasu, do prawdziwych mężczyzn. Stąd jej związek z konspiracją. Dla ułatwienia schadzek sprowadzała nawet do miasta matkę, aby pilnowała dziecko. Słomiany miał wiedzieć równie dobrze o jej zdradach co o konpiracyjnym zajęciu, ale milczał w obawie przed narażeniem na szwank męskiej reputacji. W końcu jednak, w ataku zimnej, wykalkulowanej zazdrości, nie zdobywszy się na normalną w takiej sytuacji rozprawę z żoną i obawiając się także skutków pospolitego w tych stronach zabójstwa, zadenuncjował żonę na gestapo.

Ostatnia wersja wyjaśniła już wszystko. Przekreślała jego pretensje do dziecka, co dogadzało teściowej, gorliwej zwolenniczce każdej wymyślnej kary. Można nią było wytłumaczyć podejrzanie szczęśliwy ratunek i ucieczkę kobiety, którą przywiózł z ziem zachodnich. Mówiono w końcu, że Słomiany usiłował się pozbyć wstydliwej przypadłości i dlatego składał Hernichowi częste wizyty.

Człowiek, który w czasie okupacji pełnił funkcję tłumacza, usiłował złagodzić skutki powszechnego ostracyzmu przywołując grozę przesłuchań w willi Hernicha, ale za pośrednictwem anonimu do prokuratury oskarżono jego samego o kolaborację. Kiedy miesiąc później stanął przed sądem, postępowanie karne oczyściło go z zarzutów: do pracy tej został zmuszony, bo znał niemiecki i nosił niemieckie nazwisko, co dla władz okupacyjnych stanowiło gwarancję lojalności, oddał także ludności sporo przysług, umiejętnym przekładem zeznań łagodząc nie jeden wyrok i uprzedzając często o aresztowaniach.

Tłumacz po procesie wyjechał z miasta, a Słomiany, pozbawiony jedynego życzliwego świadka, odsunięty od ludzi, starzał się coraz bardziej, jakby z niewiadomego powodu do czegoś mu się spieszyło. Wegetował ogłupiały i nieufny, dogorywając cywilnie i fizycznie pod pręgierzem pamiętliwej opinii, w kloacznym fetorze winy polegającej na tym, że nie był bohaterem, ale też nie był nim żaden z jego oskarżycieli.

Ręce przewoźnika obracają korbę, poruszają bęben i nawijają linkę trzymającą prom na uwięzi. Tępy przód wpiera się w piach i staje, woda obmywa nieruchomy kadłub. Słomiany podnosi pusty worek, schodzi z promu i z workiem w ręce mięsi buciorami piach. Znika na zakręcie drogi prowadzącej od przewozu do Bielin. Po dziesięciu minutach i oni skręcają na małą polanę w krzakach nad samym brzegiem.

— Odpoczniemy trochę — mówi ojciec.

Rozsiada się i spogląda w gąszcz: w milczeniu sadowi się obok ojca, spogląda na drzewa, w całym lesie jest cisza, powietrze wali z nóg jak narkotyk. Budzi się niemal natychmiast. Przerwa trwa jednak krótko, bo już w następnej minucie zapada drugi raz w drzemkę, podobnie jak przedtem pełną majaków układających się z wolna w twarz Słomianego o pustych oczodołach. Obaj w tym śnie patrzą długo na siebie, aż tamten w końcu krzyczy rozrywając w gniewie i pasji stare blizny pokrywające całe ciało.

Budzi się spocony. Ojciec siedzi w kucki i nieruchomym spojrzeniem wpatruje się w wikliny. Marszczy czoło, porusza brwiami, przez moment patrzy na niego starając się zwrócić uwagę na coś dziejącego się za nadbrzeżnymi wiklinami. Spoglądając tam usiłuje uporządkować swój sen: zamyka oczy, próbuje go przedłużyć, a kiedy się to nie udaje, chce oddalić od siebie jego wspomnienie. Ojciec porusza się i wtedy z odległości kilkudziesięciu metrów słyszy wyraźny plusk wody.

W rzece pławi się stado kozłów i sarna. Piją wodę, parskają, płyną swobodnie z prądem, po czym wykręcają ostro i prą pod wartki nurt, zanurzone po chrapy. Kozły wyglądają jak pnie porwanego przez wir drzewa, gładkie, ze sterczącymi brunatnymi sękami. Ojciec patrzy na rzekę, wachluje gęstymi rzęsami nieco odświętne, wystudiowane i spokojne. Trwa to zaledwie parę minut. Prawie nieznacznie, stado zbliża się do brzegu i w kilku tam dociera. Sarny i kozły z trudem wypinają się z wody, otrząsają się, idą spokojnie między drzewa i tam znikają.

Ojciec pochrząkuje dopiero po długiej chwili. Podnoszą się i schodzą z polany. Znowu las, ziemia jest tutaj wilgotna, dużo zeszłorocznych liści. Plecy ojca kołyszą się przed nim, z wyższym od lewego prawym barkiem. Po kwadransie zatrzymują się na papierosa. Sprawa Słomianego nie znika. Kiedy spogląda na zegarek, dochodzi szósta. Las ciągnie się jeszcze kilkaset metrów, po czym wychodzą z drzew i znów stają nad brzegiem. Nad chłodną zielenią rzecznego zakrętu widnieje krzeszowskie wzniesienie i wieża drewnianego kościoła. Ornych pól nie ma tu jeszcze, brzegiem, w błotnym i rybim odorze, ciągną się zarośla. Spogląda na rzekę, potem na stojącego przy nim mężczyznę.

— Niemcy zabronili przejścia przez San. W którym roku?

Ojciec obraca się i ukazuje pionową zmarszczkę łączącą bruzdy na czole. Spod nastroszonych brwi objawia się spojrzenie człowieka, który niewiele ma wspólnego z gromadzeniem pieniędzy, małą urzędniczą dyplomacją i bezsensowną zapobiegliwością zdolną uporządkować tylko najbliższy miesiąc.

— Na początku czterdziestego czwartego. Krótko potem zrobił to Stefan.

Po chwili rusza, kołysze się i patrzy w las: starzejący się człowiek, wplątany absurdalnie w epokę samochodów, atomu i chemii, wstrząsów politycznych i administracyjnych nonsensów. Stefan, to jego brat, którego Niemcy złapali w czasie przeprawy i rozstrzelali po badaniu w willi Hernicha, podobnie jak Słomianą.

Ojciec ma sześćdziesiąt lat. Jest człowiekiem, któremu niemal swojskie jest poczucie chaosu, nie do przeniknięcia dla kogoś innego, kto jak on całe życie przetrwał na jednym z najniższych szczebli społecznej drabiny. Z miejsca, gdzie tkwi, można najwyżej ten chaos ignorować, ale i jego na to nie stać. Pochłania go od niedawna astrologia, odmiana religii, polityki, wierzeń społecznych i tego, co człowiek dotąd wymyślił na swoje usprawiedliwienie, zbawienie i ocalenie. Zaprzątają go efemerydy, domy i tatwy oraz relacje planet, z których Mars jest najgroźniejszy. Jest zmartwiony, bo nie zna godziny, w której się urodził. Niektóre wydarzenia z jego życia, zdaniem ostatnich prosperujących w ukryciu astrologów, wskazują na ósmą wieczór, inne mówią o jedenastej, albo nawet o trzeciej dnia następnego.

— Po co ci astrologia? — pyta nagle.

Ojciec obraca się w marszu. Jest zaskoczony, rozczochrane brwi jadą w górę, oczy spoglądają z pobłażaniem. Skręca gwałtownie w las, torując przejście w gąszczu paproci i jeżyn.

— Potrafisz dzięki niej czegokolwiek uniknąć?

— Pewnie, gdybym tylko wiedział, o której się urodziłem. Nikomu nie wpadło do głowy, żeby zapisać godzinę.

Idzie znowu przed siebie, pochrząkuje, zamaszyście wachluje się brwiami, ręce zwisają wzdłuż boków. Na dłoniach widnieją znaki: linie życia, powodzenia i śmierci, zagmatwany zapis ideograficzny. Słoneczny blask odkrywa nagle wgłębienia po okopach z czternastego roku, polskich, rosyjskich, austriackich i węgierskich, rozciągnięty wzdłuż obu brzegów panteon narodowości.

Rzeka powoli ciemnieje, wiatr ciągnie nad wodę przedwieczorną osłonę chmur. Ścieżka rwie się nad brzegiem, widać miasto. Nad stłoczonymi dachami niska wieża jedynego kościoła, nieco w bok jedyny fabryczny komin. Willi, gdzie Słomiany utracił swoje moralne prawo, nie widać.

— Co się stało z córką Słomianego?

— Wyszła za mąż, ma dwoje dzieci.

— Widuje się z ojcem

— Nie.

— Dlaczego?

Ojciec zatrzymuje się, patrzy na niego uważnie, ale po chwili rusza spokojnie wzdłuż brzegu.

— Przecież to była jej matka.

— Ale on nie może brać za to odpowiedzialności!

Ojciec zerka spod ciężkich brwi.

— Skąd ona ma to wiedzieć?

Uderza go raptownie chłód lasu i rzeki. „Gdyby nam obu przydarzyło się to, co Słomianym", myśli w znużeniu. Idzie ścieżką, która wije się między drzewami jak wąska rzeka. Las rzednie, dochodzi plusk wody, potem w ten dźwięk wchodzą pojedyńcze słowa ludzi czekających na prom. Zarośla otwierają głęboki trakt do przewozu. Patrzy na ojca. Nim zajął się astrologią, zdarzenia całego życia i przypadkowość wszystkich szczęśliwych ocaleń budowały w nim mozolnie tę ostatnią wiarę. „Najtrudniejsza tortura", myśli spoglądając na jego plecy, „kiedy oprawca działa przez zaskoczenie. Sytuacja osaczonego zwierzęcia i potem, jak w przypadku Słomianego, ryzykowny powrót w zwichnięte człowieczeństwo. Ludzie szacują strach i ból, który dla niedoświadczonych jest czymś do zniesienia, skoro można go przeżyć".

Na parę metrów przed wodą piach płyciejе. Zjawia się twardszy grunt, na którym wspiera się mokry pomost promu. Wchodzą na pokład i wydaje mu się, że tamto wszystko znikło. Przewoźnik spokojnie jak przedtem nawija jedną linkę na bęben, drugą zwalnia. Ma wiele do powiedzenia o tajemnicach willi Hernicha. Drąg orze brzeg jak harpun cielsko ryby, prom rusza, ustawia się skośnie do nurtu, woda niesie go niemrawie. Słomiany siedzi na burcie.

Spogląda krótko na niego. Tamten wstrząsa się w ramionach niedostrzegalnie i nie podnosi oczu. Jego dłonie na burcie drżą i widok ten, choć trwa parę sekund, jest nie do zniesienia, Słomiany patrzy przed siebie pustymi oczami, dobywa z kieszeni pudełko, wtyka papierosa w mierzwę nie golonego zarostu i wyciąga zapałki.

Brzeg rośnie i zbliża się coraz prędzej. Zza łozin zjeżdża do promu furmanka. Po minucie idąc do przewozu forsują grzęzawiska piachu. Są na ścieżce, potem wkraczają na szosę. Dopada go nagle słumione brzęczenie miasta. Miasteczko jest małe, ale przez moment z jego głosem dociera tu gwar całego świata przemielonego politycznymi koniunkturami, zagmatwanym społecznym życiem i obezwładniającą niewiadomą spraw prowadzących niedostrzegalnie od jednej do drugiej próby.

Od rzeki dobiega jeszcze kołysanie wody, na linie piszczą bloki odpływającego promu. Kroki ojca rozbrzmiewają tuż przed nim.

Kamena str. 9

# 500-lecie drukarstwa polskiego

Waldemar Michalski

KUSZĄ estetycznymi obwolutami, wielkimi lub małymi formatami, elegancką szatą graficzną, czytelną czcionką i coraz lepszym papierem. Czym jest książka? Przyzwyczailiśmy się do niej. Dziwimy się gdy jej nie ma, nie zauważamy gdy jest. Czyż nie wypada powtórzyć tu za Kornelem Makuszyńskim: „Książka to mędrzec łagodny i pełen słodyczy, puste życie napełnia światłem, a puste serca wzruszeniem, miłości dodaje skrzydeł a trudowi ujmuje ciężaru, w martwotę domu wprowadza życie, a życiu nadaje sens". Książki zadomowiły się w naszych nie zawsze przestronnych domach. Jeszcze w XVI wieku stanowiły równowartość majątku, a nie tak dawno przecież płacono za nie życiem.

Książka liczy sobie co najmniej 6 000 tys. lat i różne były jej historyczne postacie. Od glinianych tabliczek, wiązanek bambusowych listewek, zwojów papirusowych, a później pergaminowych rulonów, aż po pierwsze papierowe i już w XV wieku drukowane. W 1513 r. ukazała się w Krakowie w oficynie Hieronima Wietora pierwsza polska książka drukowana pt. „Raj duszny" — jej autorem był lublinianin zwany Biernatem. Pierwsza wędrowna drukarnia istniała na ziemiach polskich już w latach 1473—1477. Rok obecny jest więc 500—letnim, jubileuszowym rokiem drukarstwa polskiego. Szkoda, że w Roku Nauki Polskiej ten jubileusz przechodzi bez echa.

Od XV wieku postać książki nie uległa zasadniczym zmianom, choć obecnie mikrofilm, taśma magnetofonowa czy perforowana są niewątpliwą zapowiedzią nowego etapu w jej dziejach. Książki wykonane całkowicie z tworzyw sztucznych to wizja wcale nie dalekiej przyszłości. Kto wie, czy nie okażą się one bardziej trwałe i funkcjonalne. Tym niemniej jej dotychczasowa tradycyjna postać pozostaje nadal nie zagrożona. Rok ubiegły, ogłoszony przez UNESCO i obchodzony na całym świecie jako Międzynarodowy Rok Książki, jej rangę potwierdził.

W Polsce ukazuje się obecnie, tylko w ciągu jednego roku, 12 tys. tytułów różnych książek o łącznym nakładzie 150 mln egzemplarzy. Jest to niewątpliwie efektem także dodatkowych przydziałów papieru na cele wydawnicze oraz rozpoczętej modernizacji przemysłu poligraficznego. Zainteresowanych dokładną statystyką wydawniczą odsyłam do rocznika wydawanego przez Bibliotekę Narodową pt. „Ruch Wydawniczy w liczbach". Przy takiej ilości wydawnictw cieszy fakt, że książka polska z roku na rok staje się coraz piękniejsza. Szare, gazetowe wydania w lichej broszurowej okładce należą już do przeszłości. Piękne wydania o walorach druków bibliofilskich coraz częściej pojawiają się w masowej sprzedaży księgarskiej. Książka piękna i ciekawa przestaje być rarytasem dostępnym tylko i wyłącznie dla wąskiego kręgu zbieraczy-bibliofilów. Jako dzieło sztuki zapewne pozostanie jeszcze marzeniem bibliofilów, ale coraz liczniejsze i piękniejsze edycje są w granicach możliwości polskiego edytorstwa.

Z kilkudziesięciu pozycji poświęconych Kopernikowi, jakie w ostatnich miesiącach ukazały się na półkach księgarskich, wiele zasługuje na miano pięknych i ciekawych druków. Przypomnę tu przynajmniej trzy pozycje: Państwowe Wydawnictwo Naukowe rozpoczęło edycję monumentalnych „Dzieł wszystkich" Mikołaja Kopernika. Tom pierwszy, który dotychczas się ukazał (1972 r.), zawiera na blisko 600 stronach dużego formatu barwną reprodukcję rękopisu „De revolutionibus". Tom swoją szatą zewnętrzną godny jest jubileuszowych uroczystości. Estetyczna reprodukcja rękopisu (fotooffset), zawierająca liczne wykresy i szkice genialnego astronoma, dokonana na matowym kremowym papierze, stała się bestsellerem księgarskim. Nakład 3 tys. egz., mimo wysokiej ceny (500 zł), w całości został rozsprzedany w subskrypcji. Drugą pozycją kopernikowską, o której chciałem tu wspomnieć, jest bogato ilustrowana monografia Eugeniusza i Przemysława Rybków pt. „Kopernik — człowiek i myśl". Bibliofilski charakter nadają monografii liczne czarne i żółto-zielone reprodukcje starych sztychów, portretów i zdjęć, czytelna duża czcionka, urozmaicony układ graficzny tekstu, luksusowy papier kremowy, a także ciekawy format dużego kwadratu. Książkę opublikowało wydawnictwo Wiedza Powszechna w 1972 r. w nakładzie 30 tys. egzemplarzy. Trzecią pozycją jest praca Stanisława Grzybowskiego pt. „Mikołaj Kopernik". Książka formatu kieszonkowego z urzekającą kolorami okładką (broszurowa lecz lakierowana) ukazała się w dwóch wydaniach w znanej serii „Światowid". Spółdzielnia Wydawnicza Książka i Wiedza opublikowała ją w nakładzie 60 tys. egzemplarzy, które rozsprzedano w ciągu kilku godzin, a cena zł 15 była raczej ceną symboliczną. Niewątpliwie na atrakcyjność tej pozycji wpłynęła wspomniana już okładka (portret Kopernika) w kolorach czarno-czerwono-złotym, dziesiątki reprodukcji brązowych i czarnych, elegancki biały offsetowy papier, a przede wszystkim interesujący i przystępny dla masowego czytelnika wykład o Koperniku.

Wymienione przykłady świadczą o tym, że książkę naukową i popularnonaukową można wydawać w formie atrakcyjnej. Niestety ten typ publikacji najczęściej traktowany jest nadal jakby „po macoszemu", szablonowo i tradycyjnie, co w konsekwencji przyczynia się do systematycznego obniżania się ich nakładów.

Omawiając przykładowo książki piękne i ciekawe, pomijam, z braku miejsca, szereg pozycji godnych odnotowania. Np. odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie była okazją opublikowania wielu pięknych albumów i cennych monografii. Nie wspominam tu także publikacji bibliofilskich typu ciekawostek dla koneserów (np. słynne „Nowe Ateny" Benedykta Chmielowskiego, które — jak zaznaczono w kolofonie — „drukowano w Krakowie, kiedy księżyc był na nowie, roku 1968, sumptem Wydawnictwa Literackiego... na papierze pakowym") oraz licznych druków okolicznościowych, których żywot jest krótkotrwały, a zasięg ograniczony. Najcenniejsze bowiem i charakterystyczne dla polskiej książki współczesnej to nie sporadyczne druki bibliofilskie, ale masowe nakłady o coraz wyższym kunszcie edytorskim (np. „Klejnoty sztuki polskiej" wydawane przez oficynę AURIGA w Warszawie lub ostatnia międzywydawnicza seria beletrystyczna pn. „Biblioteka XXX-lecia").

W lubelskim Muzeum im. Józefa Czechowicza w listopadzie i grudniu 1972 r. czynna była wystawa pt. „Pięknie wydana książka poetycka". Nie pierwsza to i chyba nie ostatnia impreza bibliofilska w tym cennym dla lubelskiej kultury i literatury „salonie". Można było tu zobaczyć m. in. bibliofilskie, ale równocześnie w nakładach masowych, wydania Reja („Figliki", PIW 1970), Kochanowskiego („Szachy", Czytelnik 1966), Słowackiego („Uspokojenie", PIW 1970), Norwida („Dwa poematy miłosne", PIW 1966), Staffa („Gałąź kwitnąca", PIW 1968), Czechowicza („Fraszki", Wydawnictwo Lubelskie 1962), Gałczyńskiego („Zaczarowana dorożka", Czytelnik 1966), wreszcie piękną antologię wierszy i pieśni wojskowych pt. „Poeci żołnierzom 1410—1945" (MON 1970).

Kolekcję tę niewątpliwie można by uzupełnić szeregiem innych, ostatnio opublikowanych wytwornych pozycji. Do nich pretendują także „Kolędy polskie" (PAX 1966, t. 1—2) oraz zbiór XIX i XX-wiecznych tekstów pieśni wędrownych śpiewaków pt. „Karnawał dziadowski" (LSW 1973). Z najnowszych zaś pozycji godnie prezentuje się narodowy poemat „Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza, wydany kunsztownie edytorsko z 25 barwnymi ilustracjami Józefa Wilkonia, w dużym formacie i ciekawym opracowaniu typograficznym. Księga opublikowana została przez znane i specjalizujące się w edycjach albumowych wydawnictwo ARKADY (1973 r.). Na półkach księgarskich pojawiły się ostatnio także bibliofilskie, ale ogólnie dostępne, edycje poezji autorów obcych. Przypomnę tu tylko dwujęzyczny tekst „Pieśni" Horacego w edycji Ludowej Spółdzielni Wydawniczej (1972), dwujęzyczny tekst „Utworów poetyckich" Jamesa Joyce (1972) oraz „Nowe przekłady" Guillaumea Apollinairea (1973) — obydwie ostatnie pozycje w edycji krakowskiego Wydawnictwa Literackiego.

Równocześnie ukazywały się, o czym warto także pamiętać, wielotysięczne nakłady pięknych wydań powieści i opowiadań Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Iwaszkiewicza i innych. Np. „Faraon" Prusa, z ilustracjami Szancera (Wyd. PIW), uzyskał aż 22 wydania, każde po 50 tys. egz. nakładu! Piękne wydanie „Starej Baśni" J. I. Kraszewskiego z ilustracjami Andriollego w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej (1971) osiągnęło nakład 40 tys. egzemplarzy (pozycja ukazała się z okazji 25-lecia LSW). Mimo ceny zł 100 za egzemplarz, książka była sprzedawana spod lady. Przypomnę tu także bibliofilskie wydanie z ostatniego roku: opowiadania Iwaszkiewicza pt. „Nowa miłość" (Czytelnik 1973) i Żeromskiego „Puszczę jodłową" z drzeworytami Władysława Skoczylasa (Czytelnik 1973).

Cechą wspólną wszystkich wymienionych książek jest artystyczny ład i umiar wystroju edytorskiego. Na ich elegancję składają się m. in gatunkowy papier, liczne sztychy, przerywniki i wielobarwne reprodukcje, ciekawy i oryginalny układ graficzny kolumny, odpowiedni krój czcionek, wreszcie estetyczne oprawy. Wszystkie wymienione elementy odpowiednio współistnieją z treścią książki, są jej dopowiedzeniem, często ilustracją, nierzadko komentarzem.

Cieszy fakt, że edytorstwo polskie zaczyna się liczyć w skali światowej. Polska książka na międzynarodowych targach książki w Warszawie, Lipsku czy Frankfurcie godnie reprezentuje naszą naukę i sztukę. Jest dobrym ambasadorem kraju — a o to przecież także chodzi nie tylko bibliofilom.

## POTYCZKI JĘZYKOWE

# „Żeśmy" zamiast śmy

ZADYSZANY chłopiec przybiega z boiska i z przejęciem opowiada: Ale żem się zmachał! To był mecz dopiero! Z początku żeśmy grali słabo, ale potem żeśmy im strzelili gola!" Często słyszymy te niechlujne, żem, żeś, żeśmy, żeście w mowie potocznej, zwłaszcza wśród młodzieży. Gorzej, kiedy się to widzi czarno na białym w książce lub czasopiśmie czy słyszy w telewizji. A niestety zdarza się to czasami. Oto przykłady: „I tak żeśmy się rozeszli" (zam. rozeszliśmy się) — „Dżuma w mieście Breslau" str. 149. „Nic żeśmy nie rozumieli" — „I znowu żeśmy się pokłócili" (A. Dostojewska „Dzienniki"). „I tak żeśmy pogwarzyli" („Litery" nr 8 1971 w „Pocztylionie literackim"). „Cóż, tylko tę kampanię wrześniową żeśmy przegrali" (zam. przegraliśmy — z książki znanego dziennikarza i publicysty). „Tak żeśmy ją schowali, że nie możecie znaleźć" (z telewizji).

A teraz o kilku rusycyzmach, które wciąż się mnożą. Różnego gatunku, do koloru i wyboru. „Ta suknia nie jest w kolorze podchodzącym do pani cery" — odradza ekspedientka w „Telimenie". No, ale to słyszy tylko kilka osób w magazynie. Co jednak powiedzieć, gdy w telewizji milionom słuchaczy wbija się w uszy takie powiedzenie: „Ptaki podchodzące do tej problematyki"? Dosłowny przekład rosyjskiego „podchodiaszczyj", jakby nie było polskiego — „odpowiedni". Albo inny rusycyzm — „podprowadzić" w sensie — nabrać, oszukać. Nie rozporządzam w tej chwili odpowiednim przykładem zaczerpniętym z książki czy z prasy, ale chyba każdy z nas słyszał w różnych okolicznościach coś w tym rodzaju: „Kto by przypuszczał, że przyjaciel potrafi tak podprowadzić!" (ros. „podwiesti")

A w „Opowieści o braciach Turgeniew" (str. 155) przeczytałem, że jakaś kobieta była „nie bardzo podobna na matkę" („pochożaja na", gdy po polsku jest się podobnym do kogoś).

W jednym z lubelskich dzienników w artykule „Co chcemy osiągnąć?" znalazłem rażące w polszczyźnie użycie przysłówka „daleko": „daleko nie wszystkie". Należałoby powiedzieć: „Bynajmniej nie wszystkie".

Na zakończenie jeszcze o jednym rusycyźmie. Mam na myśli wyraz „nabolały". Jakże często obija się nam o uszy „nabolałe problemy", „nabolałe sprawy" itd. Znowu kradzież z języka rosyjskiego — „nabolewszczyje woprosy". Po polsku mówi się: „palące problemy, sprawy" itd.

Caius

Kamena str. 10

## POD PARAGRAFEM

# Psycho-patologia oszusta

W SPRAWACH o oszustwo zaskakuje często ludzka naiwność. Ale w tej sprawie, choć naiwność bezgraniczna, jednak nie zaskakująca. Bo oszukanymi zostali ludzie bardzo starzy i na ogół — co tu kryć — dosyć prymitywni. Przeglądam protokóły przyjęcia ustnego zawiadomienia o przestępstwie, protokóły przesłuchania poszkodowanych, protokóły konfrontacji poszkodowanych, z oszustem. Jest ich w aktach mnóstwo i kiedy patrzę na te krzyżyki, które zamiast podpisu składają oszukani, na te niezdarne kulfony, kreślone trzęsącymi się rękami starców, wówczas krew mnie zalewa i obrzydzenie ogarnia wobec tego oszustwa, tak wyjątkowo szkaradnego i cynicznego, choć w gruncie rzeczy prostego.

Latem ubiegłego roku w mieszkaniach rencistów, przeważnie ludzi 70—80-letnich i przeważnie o wykształceniu nie większym niż trzy klasy szkółki carskiej, zaczął się pojawiać osobnik podający się za pracownika Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Rozmowy były krótkie. Należy się panu (pani) podwyżka renty, i to już od kilku lat, otrzyma pan (pani) dwadzieścia tysięcy złotych, ale wpierw trzeba zapłacić tytułem podwyższonej składki emerytalnej tysiąc dwieście złotych, już teraz, na rękę, a nazajutrz prześlemy książeczkę PKO z odpowiednim wkładem. Starcy żebrali o rozłożenie tego tysiąca dwustu na raty, że niby oddadzą, jak przyjdzie książeczka PKO z owymi dwudziestoma tysiącami, a na razie oddawali oszustowi ostatnie grosze.

Nie żądali legitymacji od rzekomego pracownika ZUS-u, tylko jedna osoba poprosiła o dowód osobisty i wtedy oszust, nie mając wyjścia, okazał swój dowód, a rencista spisał dane na paczce „Sportów" i opakowanie tych papierosów znajduje się w aktach sądowych. Tylko jedna osoba zażądała pokwitowania; wówczas on nabazgrał je na jakiejś wymiętej karteczce i złożył podpis nieczytelny. I tę karteczkę wpięto do akt sądowych. Oczywiście, książeczka PKO z mitycznymi dwudziestoma tysiącami nie nadchodziła, a pozbawieni ostatnich groszy starcy musieli pisać o zapomogę do Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej. Niewielkie ryzyko ponosił oszust i łatwy zbierał łup. Na szkodę 18 starych ludzi, bezradnych i oszołomionych możliwością gigantycznego, jak na ich warunki, wzbogacenia się, zgarnął 9 600 zł.

Szczęście, że ta karteczka z „pokwitowaniem", pisana ręką cwaniaka, oraz ta adnotacja na opakowaniu „Sportów" znalazły się na biurku prokuratora, gdyż tylko część poszkodowanych „z całą stanowczością" rozpoznała oszusta podczas bezpośredniej konfrontacji, kiedy go nareszcie złapano. Jak to starzy ludzie: chyba ten, ja dobrze nie widzę, jest podobny, nie jest chyba podobny... I on liczył na ich starość, niedołęstwo, ślepotę. Potrafił nawet wyłudzić 60 zł na „znaczki skarbowe".

Przesłuchiwany przez milicję i prokuraturę, oszust twardo milczy, nie chce podpisać żadnego protokółu. I tak to trwa długie tygodnie, a organa ścigania żmudnie odnajdują i przesłuchują świadków, nizają poszlaki, zbierają dowody rzeczowe. Materiał dowodowy prawie w komplecie, oszust milczy nadal. Podsunięto mu akta do wglądu, nie otworzył ich nawet. „Nadal, siedząc nieruchomo, milczy" — zanotowano w protokóle. I tak trzy miesiące. Nie przeszkodzi mu to jednak wystosować skargi do sądu:

*Od chwili aresztowania 5.07 1972 r. godziny 12.00 do dnia dzisiejszego nikt z organów dochodzeniowych nie poinformował mnie o dowodach zebranych w czasie śledztwa... Nie zezwolono mi w aktach złożyć podpisu... Wprawdzie w dniu 11 09 1972 przybył do Zakładu Karnego człowiek w osobie gestapo z obozu koncentracyjnego, w którym kiedyś przebywałem, i kiedy będąc sam na sam, kopnął mnie butem w żołądek, a następnie wyjął z kieszeni okrągłą gałkę i uderzył nią mnie w głowę, po czym zabrał jakieś akta i odszedł. Na głos mego bólu żołądka i uderzenia w głowę nadleciał oddziałowy i zbiegli się więźniowie z pozostałych cel i w takim stanie rzeczy ponownie nie mogłem niczego podpisać i poznać dowody, jakie przeciwko mnie zostały zebrane.*

Donosi jeszcze, że będąc na wolności zgubił swój dowód osobisty, którym widocznie posługiwał się inny człowiek o tym samym nazwisku. On zaś jest niewinny, a na dowód powołuje 50 świadków (tu nazwiska). *Życie moje oblicza się na parę tygodni... Proszę Wysoki Sąd Powiatowy pozwolić mi umrzeć w domu mego mieszkania, albowiem jest to już ostatnie moje życzenie i ostatnia prośba* — dodaje. Sąd, oczywiście, utrzymał areszt w mocy.

Podejrzany ma lat 45, bez wykształcenia, bez zawodu, nie pracuje, ma rentę inwalidzką w wysokości 920 zł miesięcznie, na utrzymaniu 78-letnią matkę. Żona nie chce go widzieć na oczy, sama utrzymuje ich troje dzieci. Był trzynaście razy karany, głównie za oszustwa, i gdzie on już nie siedział! Ostatnio wyszedł z więzienia w 1969 roku. Więc sprawa byłaby jasna i może w ogóle nie warto by o niej pisać, gdyby nie pewne okoliczności, o których na końcu.

Już podczas rozprawy przed sądem zaczął pisać „notatki pod rozwagę sądu powiatowego".

*Jak pogodzić II grupę renty psychiatrycznej z tytułu 20-letniej pracy w PRL z moją 13-krotną karalnością, bo zawsze niewinnie byłem karany... Winny być może inny o tym samym nazwisku i organa MO posługujące się moim dowodem osobistym przez okres 2 lata... Jak pogodzić narzucone mi przestępstwa z moją chorobą i chorobami, takimi jak: bezwład obu nóg, rak wątroby, niewydolność obu nerek, uszkodzenie mięśnia sercowego, chroniczny ból głowy, schizofrenia paranoidalna, astma sercowa, choroby dróg oddechowych, woda w brzuchu, nieżyt żołądka, brak uzębienia całkowity, w 1970 roku zaleczona gruźlica płuc.*

Z załączonych dokumentów wynika jedynie: marskość wątroby, odbyte przewlekłe zapalenie oskrzeli, alkoholizm nałogowy, ogólne wyniszczenie, podana przez chorego choroba reumatyczna, a także: reakcje histeryczne, podejrzenie nerwicy sytuacyjnej. Orzeczenie sądowo-psychiatryczne stwierdza, że podejrzany „jest psychopatą histerycznym i nałogowym alkoholikiem z tendencjami symulacyjnymi, cierpi też na marskość wątroby znacznie zaawansowaną". Dalej biegli stwierdzają: „miał pełną zdolność rozeznania znaczenia zarzucanych mu czynów i kierowania swym postępowaniem". Adwokat podważył tę ostatnią opinię i zostanie powołany nowy komplet biegłych.

Oszust został oskarżony aż z pięciu artykułów kodeksu karnego. Przed sądem staje 28 osób pokrzywdzonych, powołano 33 świadków. Rozprawa została odroczona na wrzesień bieżącego roku, ponieważ oskarżony nałykał się proszków w szpitalu więziennym i nie był w stanie stawać przed sądem. Prokurator może „poprosić" przynajmniej o pięć lat dla oskarżonego i dalej ta sprawa wydaje się prosta, poza jedną okolicznością, która przy dzisiejszym stanie wiedzy psychiatrycznej dla wymiaru sprawiedliwości nie ma znaczenia, ale ma znaczenie dla dziennikarza, który zacząłby myśleć o ogólniejszych wymiarach tej sprawy w dalszej perspektywie przyszłościowej.

Psychopatia jest traktowana obecnie jedynie jako wada charakterologiczna, która nie wyklucza zdolności kierowania swym postępowaniem przez psychopatę. Powstaje jednak wpierw problem, czy ten zespół schorzeń, jaki wykryto u oskarżonego, nie prowadzi do praktycznego dylematu: lepiej tego człowieka posadzić na pięć lat, żeby potem wyszedł z więzienia i dalej czynił swoje, czy też umieścić go gdzie indziej na dłuższy czas, i to znacznie dłuższy, żeby go próbować leczyć? I powstaje jeszcze problem ogólniejszy — co my dziś wiemy o takich ludziach? Wiemy, że nie bardzo wiemy, co z nimi zrobić. „Może za 40 lat będziemy o tych ludziach wiedzieli więcej, jak się nauka rozwinie, i wtedy będziemy wiedzieli, co z nimi robić" — powiedział mi pewien psychiatra, któremu zreferowałem sprawę.

Pociej

# Walka z bytem

Jadwiga Mizińska

UTARŁO się przekonanie, że esej jako próba wypowiedzi literarkiej nie odpowiada mentalności niemieckiej. Od tego stwierdzenia rozpoczyna swój „Esej o eseju" Walter Hilsbecher, współczesny zachodnioniemiecki pisarz, którego — jak pisze we wstępie Stefan Lichański — nie sposób jednoznacznie określić ani jako krytyka, historyka czy teoretyka literatury, ani też jako filozofa, socjologa kultury, etyka, chociaż jego pisarstwo operuje swobodnie na pograniczu wszystkich tych dziedzin.

Wypada zgodzić się ze zdaniem Hilsbechera, że taka jest właśnie obiegowa opinia, jakkolwiek jej wiarygodność może budzić zastrzeżenia. Mało kto na przykład zdaje sobie sprawę, że rała wczesna i „dojrzała" twórczość Kanta miała właśnie charakter eseistyczny. Na ogół nazwisko tego wielkiego filozofa kojarzy się z suchym i zawiłym stylem wykładu, który jest przecież charakterystyczny tylko dla dzieł z ostatniego okresu jego 80-letniego życia.

Tę utartą, a nie w pełni słuszną opinię stara się przezwyciężyć Hilsbecher praktycznie i teoretycznie poprzez swą własną eseistyczną twórczość, której fragmenty czytelnik polski ma możliwość poznać w wydanym wyborze prac pt. „Tragizm, absurd i paradoks".

Autora skłania do rozważań przede wszystkim istota eseju. Poszukuje jej zastanawiając się nad genezą tej fascynującej, a ostatnio coraz częstszej formy wypowiedzi poglądów nie tylko filozoficznych.

Za ojczyznę eseju uważa Hilsbecher Francję, a za ojca — tego gatunku — Montaigne'a. W przeciwieństwie do „systematycznego myślenia" charakterystycznego dla Średniowiecza, esej Montaigne'a wprowadzał elementy „myślenia otwartego", nastawionego na chwytanie rzeczy ulotnych, niepowtarzalnych, kruchych. Walka tych dwóch stylów myślenia, którą zresztą prawdopodobnie dałoby się wywieść jeszcze ze starożytności (wystarczy wspomnieć o niepokojąco „ciemnych" aforyzmach Heraklita), jest dla Hilsbechera zewnętrznym przejawem głębokiego rozdarcia człowieka między pragnieniem znalezienia w świecie czegoś stałego, pewnego i niezmiennego, a obserwacją rzeczywistej płynności i przemijalności rzeczy.

To rozdarcie pogłębia się szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy zawrotne tempo przemian w stylu życia, nauce, modach i obyczajach podważyło zaufanie do wszystkiego, co usiłuje uchodzić za prawdę absolutną, bezwzględną.

Wszelka obiektywność stała się problematyczna. W takiej sytuacji człowiek jest skazany na wieczne poszukiwanie prawdy subiektywnej, przeznaczonej „do prywatnego użytku". Wymaga to od jednostki wielkiego wysiłku, ale dostarcza wszystkich przyjemności związanych z wielką przygodą intelektualną.

Esej nie daje nigdy odpowiedzi ostatecznych. „Essayer" to po francusku „próba". Esej jest więc ciągłym próbowaniem prawdy, jest eksperymentowaniem z prawdą, niosącym zarówno wielkie niespodzianki, jak i niebezpieczeństwo improwizacji.

Kiedy zdaliśmy sobie sprawę z ogromu i złożoności tajemnic świata, świadomie wybieramy się w wielką po nim podróż zaopatrzeni tylko w plecak i namiot, czujni na każdy szelest i zapach. Jedynym wyjściem z sytuacji, kiedy nie można przewidzieć wszystkiego, jest zrezygnowanie z „ciężkiego sprzętu" schematów i zdanie się na żywioł przygody i wyobraźni.

Istota eseju, tak bardzo odpowiadająca dzisiejszemu człowiekowi, wywodzi się nie tylko z natury świata, ale także — z właściwego nam sposobu jego poznawania. Świat człowieka współczesnego to — wbrew pozorom — nie kula ziemska, ale strzępy i fragmenty obrazów, poglądów, przeżyć, z których z trudem usiłuje on ułożyć sensowną całość. Zamiast rozpaczać nad utratą klasycznego wzorca absolutnej i doskonałej harmonii, Hilsbecher proponuje:

„Po oszamiałających zwycięstwach wielkich eposów, pięknym blasku ogromnych konstrukcji myślowych, kryształowo jasnych poezjach, fragment uczy nas znowu zrozumienia płynnej struktury naszego świata, przyjmuje nas czarem tymczasowości, wstrząsa naszą świadomością budząc przekonanie, że doskonałość polega dla nas jedynie na tym, by z całym spokojem uprawiać fragment, by w sposób możliwie najdoskonalszy być niedoskonałym".

* * *

Losem każdego myślącego człowieka końca XX wieku jest więc poszukiwanie prawdy subiektywnej, wyodrębnianie jej spośród panujących i odrzuconych systemów „prawd obiektywnych", tworzenie własnymi rękami swojego „intymnego świata". W tej pracy towarzyszy mu nieustannie niepokój i zagrożenie. Człowiek już przez sam fakt życia jest nieustannie narażony na „ataki bytu". „Ani przez ułamek sekundy nie ustaje grad, który w nas siecze" — pisze Hilsbecher.

Istotę ludzką można porównać do kulistej monady, której skóra drży pod naporem wstrząsów. Część ich przenika do wnętrza i sieje spustoszenia, zakłócając spokój „wspaniałej próżni". Odpowiedzią na „atak bytu" w postaci bodźców o różnej mocy są uczucia i myśli, które przetwarzają je na specyficzny ludzki język. Zasadą bowiem stosunku między człowiekiem a światem jest prawo homeostazy. Zasada równowagi na atak domaga się reakcji kontrataku. To, co wdarło się w psychikę jako ciało obce, musi być wyrzucone na zewnątrz. Wrażenia, których doznajemy, domagają się wyrazu.

Z tego rozumowania Hilsbechera wynika, że twórczość pojmowana jako nadawanie kształtu obrazowego bądź językowego doznaniom cielesnym i psychicznym jest koniecznym stanem człowieka. Jest — by powtórzyć wyraziste porównanie — „zemstą na wrażeniu, które nas zraniło". Oczywista, taka twórczość przyjmuje najróżnorodniejsze formy i stopnie myślenia. Regułą jest jednak wprost proporcjonalna zależność stopnia wrażliwości do siły potrzeby „odreagowania" bodźca, nazwania go, ujęcia w określony kształt. W eseju „Pisanie jako terapia" napotykamy na słowa: „Religia, sztuka i pisanie to podejmowane przez człowieka próby uporania się z podstawową sytuacją zagrożenia. Na ustawiczną nawalnicę wrażeń człowiek, nie chcąc im ulec, odpowiada wyrazem". Można byłoby powiedzieć, prowadząc dalej tę myśl, że wobec tego cierpienie wywołane lękiem i niepokojem jest nie tylko nieodłącznym towarzyszem, ale wręcz warunkiem wszelkiej twórczości. W ten sposób dochodzimy do paradoksu: świat dzieł sztuki, wspaniałych osiągnięć nauki i techniki, świat subtelnych wartości duchowych, który stanowi o człowieczeństwie i dumie naszego gatunku, powstał w wyniku cierpienia, jako rezultat ucieczki od cierpienia i próby jego przezwyciężenia.

Nie jest to chyba wniosek wbrew Hilsbecherowi, gdyż jednym z częściej występujących wyrażeń w „Tragizmie, absurdzie i paradoksie" jest „ból świadomości". Za cenę uzyskania świadomości, która postawiła człowieka najwyżej w hierarchii istot żywych, człowiek musiał zapłacić właśnie cierpieniem.

„Dziecko też zna ból, ale zmywa go łzami, nie dopuszcza by się natężył, choć nie może zapobiec temu, gdy za każdym razem pozostaje jednak jakaś resztka choćby najdrobniejsza. Ta resztka kieruje się ku głębszej warstwie, gdzie przeciwstawne sobie siły bytu spoczywają jeszcze w spokoju, bez napięcia. Tęsknota za nieznanym i tęsknota za domowym ogniskiem w bezpiecznym schronieniu, w dziecięcej bliskości łona są jeszcze splecione ze sobą. Dopiero gdy człowiek oddali się od ciepła swojego początku, panujące między tymi tęsknotami naturalne napięcie staje się odczuwalne, przekracza granicę, poza którą rozsadza pozorną jedność ludzkiej istoty — następuje rozdwojenie człowieka. Z tego właśnie rozdwojenia wynika ból i świadomość, to ono właśnie wytwarza owo specyficzne natężenie egzystencji, które wiążemy z wyobrażeniem dorosłości, czujności i „utraconej niewinności" (Mit Narcyza, s. 73—74).

Konsekwetnie należałoby przyjąć, że cierpienie jako wynik utraty równowagi, domagając się powrotu do niej — stanowi rodzaj mechanizmu obronnego człowieka, którego „nadwyżki działania" tworzą niepowtarzalny świat ludzkiej kultury.

Stanowiłoby to próbę przewartościowania pojęcia „cierpienia", które dotychczas kojarzyło się na ogół z siłą niszczącą człowieka. W nowym ujęciu cierpienie jawiłoby się jako czynnik dynamizujący ludzkie życie.

Książka Hilsbechera nawołuje do odważnego wykorzystania tej potencjalnej siły.

*) Walter Hilsbecher, „Tragizm, absurd i paradoks". Eseje. Wybór i wstęp Stefana Lichańskiego. Warszawa 1972. Biblioteka Krytyki Współczesnej PIW.

## Krzyżówka nr 17

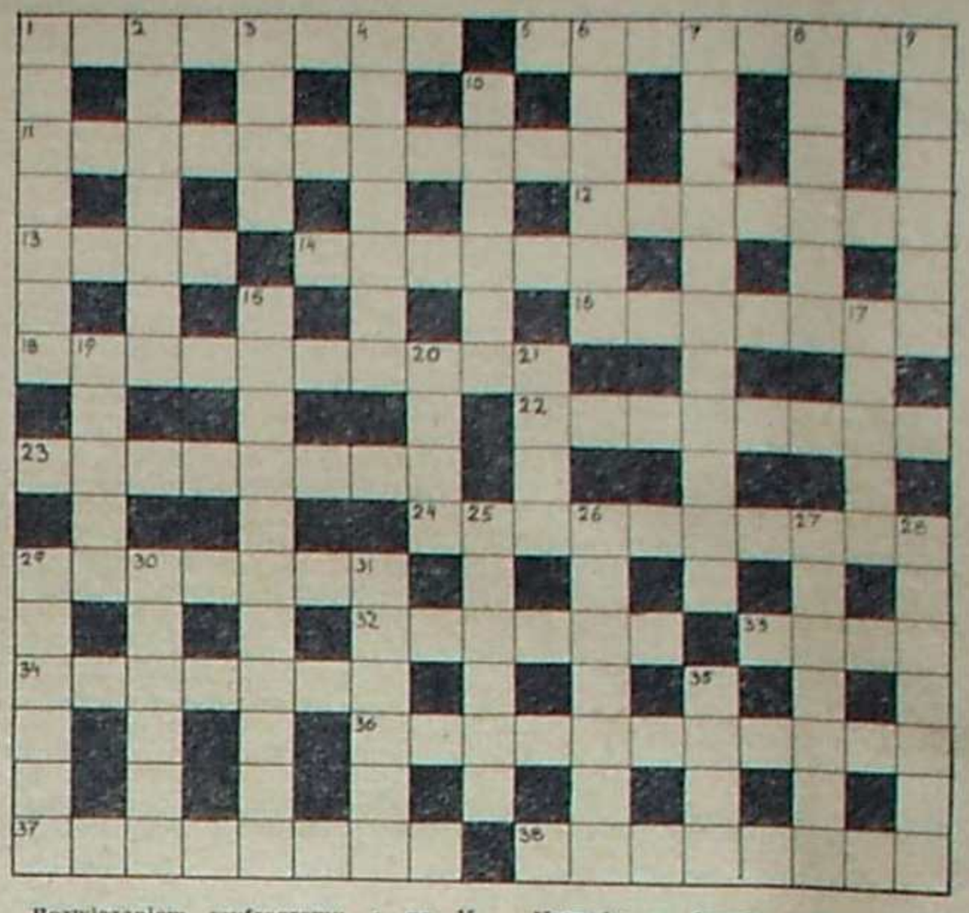

POZIOMO: 1. nauczyciel Platona, 5. płaski, dekoracyjny filar przyścienny, 11. polski pisarz — podróżnik z pierwszej połowy XX wieku, 12. państwo europejskie, 13. rzadkie imię żeńskie, 14. prelekcja, 16. pisma nie podpisane przez autorów, 18. poetka polska używająca pseudonimu Jan Sawa, 22. pisarz i publicysta polski XVIII wieku, założyciel Collegium Nobilium, 23. niemiecki pisarz epoki romantyzmu, 24. pisarz polski, autor wielu powieści historycznych, 29. warszawski spryciarz, 32. odpowiedź „nie", 33. ruina pojazdu (wspak), 34. faux pas, 36. poeta polski — romantyk, nazywany „lirniklem mazowieckim", 37. nie obrobione brylanty, 38. największy wąż dusiciel.

PIONOWO: 1. miasteczko w woj. lubelskim związane z powstaniem listopadowym, 2. sufitowy element dekoracyjny, 3. przepływa przez Florencję, 4. wiersze miłosne, 6. najsłynniejszy epos świata, 7. słynny komediopisarz starogrecki, 8. popularna nazwa pruszkowskiego szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych, 9. zawody wioślarskie lub żeglarskie, 10. staropolski niezbyt mądry siłacz, 15. francuski poeta, współtwórca awangardy, 17. azjatycka małpa naziemna wąskonosa, 19. daje nazwę parkowi narodowemu w dolinie Prądnika, 20. spektakl w namiocie, 21. stolica Ghany, 25. powieść o miłości, 26. władca nie podlegający niczyjej zwierzchności, 27. duże boisko, 28. najazd, napad, 29. pisarz — marynista angielski polskiego pochodzenia, 30. staropolska dzierżawa, 31. potrawa mięsna, 35. produkt pszczeli.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 15 był początek wiersza Władysława Broniewskiego pt. „22 lipca"

„Dwudziesty drugi lipca. Bug przekracza
Armia Polska
We krwi, w pożarach wojny kraj. Do
broni Wolność bliska!
Już cofa się śmiertelny wróg, w natarciu
bratnie wojska".

Nagrody w formie bonów książkowych po 40 zł otrzymują: Michalina Libucha, Strzyżów nad Wisłokiem, ul. Parkowa 2; Kazimierz Piluś, 22-546 Turkowice, Wronowice; Zdzisław Okrutny, 57-530 Międzylesie, blok PKP 5, woj. wrocławskie; Stefania Kotlarczyk, 26-465 Smogorzów, pow. Przysucha, woj. kieleckie.

# Znowu moda na Kazimierz

Dokończenie ze str. 5

storyków sztuki, 1 bibliotekoznawcę i jednego... polonistę-literata, nie mówiąc o personelu administracyjnym i pomocniczym, o brygadzie ciesielskiej. Pracownia Architektoniczna przy Muzeum działa pod kierownictwem mgr inż. arch. Jerzego Kowarskiego, byłego prezesa Zarządu Głównego SARP, który osiadł na stałe w Kazimierzu. Na razie znalazła pomieszczenie w Domu Architekta, bo w ciasnej kamieniczce celejowskiej nie ma już nawet miejsca na zbiory muzealne — trzeba było wynająć pomieszczenia na magazyn w domu prywatnym. Żurawski myśli o wykupieniu dwóch sąsiednich kamieniczek, ale to sprawa przyszłości.

Już dzisiaj, spacerując po Kazimierzu widzi się efekty działalności nowo powstałej placówki: lubelskie PKZ prowadzą remont kamienicy celejowskiej i konserwację polichromii w prezbiterium kościoła św. Anny. Na Zamku trwają prace archeologiczne i budowlano-architektoniczne, prowadzony jest remont domu Sielińskiego. W przygotowaniu znajduje się studium historyczno-konserwatorskie całego Kazimierza, łącznie z Albrechtówką i Bochotnicą, oraz studium krajobrazowe nieregularnego czworoboku, którego kąty wyznaczają Puławy, Nałęczów, Kazimierz i Janowiec. PKZ w Lublinie zlecono opracowanie szczegółowego planu zagospodarowania przestrzennego miasta wraz z planem rewaloryzacji. Inne studia i plany jak: studium ekologiczne i plan ogólny zagospodarowania przestrzennego będzie wykonywała Wojewódzka Pracownia Urbanistyczna.

Poza tym pracownicy Muzeum opracowują dokumentacje spichlerzy przy ulicy Puławskiej. Po ich rekonstrukcji powstanie tam oddział Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku (ekspozycja obrazująca rolę, jaką spełniała na przestrzeni wieków Wisła w gospodarce Polski), inne spichlerze zostaną przeznaczone na obiekty turystyczne.

Jeszcze w tym roku rozpoczną się prace konserwatorskie Alei Topolowej, wiodącej z Kazimierza do Puław: piękne kilkusetletnie topole zostaną odpowiednio zabezpieczone, a w lukach po starych drzewach posadzone nowe. W przyszłym roku podejmie w Muzeum pracę inżynier-ogrodnik, specjalista od zieleni w zespołach zabytkowych. Stanie on na czele specjalnie wyodrębnionego działu konserwacji zieleni.

Najmniejszy „rozkwit" przeżywa w tej chwili działalność ściśle merytoryczna Muzeum. Ale jest to rzecz zrozumiała. Wprawdzie wciąż brak pomieszczeń dla rozwinięcia szerszej działalności ekspozycyjnej (w czterech niewielkich salkach ledwie zmieściła się wystawa prac uczniów Tadeusza Pruszkowskiego), ale zrozumiałe, że główny nacisk kładzie obecnie Żurawski na najważniejszą w danej chwili, „pozamuzealną" działalność.

*

Tak wygląda obraz modnego znów Kazimierza nad Wisłą, latem 1973 r. Zakurzone i zarazem wypływające na czyste wody miasteczko, budzące niewesołe refleksje na temat ludzkiej gospodarności, a jednak skłaniające do spojrzenia na jego przyszłość z optymizmem.

**Mirosław Derecki**

»KAMENA«

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI I ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI I MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 52 zł, półrocznie 26 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄŻKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamał: MIECZYSŁAW PSUJEK

Adres redakcji:
20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

L.ZGraf. Zam. 1931. 8.VIII.73. 14.388. G-4.

## Listy do KAMENY

### „Operatywność PDK"

OD REDAKCJI: W 12 n-rze „Kameny" opublikowaliśmy list czytelnika, wskazujący na ograniczone możliwości korzystania przez PDK w Tomaszowie Lub. z własnego samochodu. W odpowiedzi otrzymaliśmy kopię pisma, skierowanego do przewodniczącego Prezydium PRN w Tomaszowie przez mgr. Z. Pasternaka, zast. przewodniczącego Prezydium WRN w Lublinie:

Z notatki prasowej Ob. A. Zalewskiego zamieszczonej w dwutygodniku społeczno-kulturalnym „Kamena" (nr 12 z 17.VI. 1973 r.), którą anonimowo przesłano na ręce Obywatela B. Wójcika — Przewodniczącego Prezydium WRN, oraz z nadesłanej w tym przedmiocie informacji Woj. Domu Kultury w Lublinie wynika, iż Wydział Oświaty i Wychowania oraz Kultury PPRN w Tomaszowie Lubelskim w sposób niewłaściwy i niezgodny z prawem korzysta ze środka lokomocji należącego do Powiatowego Domu Kultury w Tomaszowie Lubelskim.

Z analizy wyjazdów w teren wynika, że wspomniany Wydział znacznie częściej korzystał z samochodu „Nysa", aniżeli jego właściciel.

Skutkiem tego PDK Tomaszów Lub. nie mógł przeprowadzać leżącego w jego gestii w wystarczającej ilości fachowego poradnictwa dla terenowych klubów i zespołów artystycznych.

W związku z powyższym proszę Obywatela Przewodniczącego o uregulowanie prawne korzystania z taboru samochodowego PDK Tomaszów Lub. przez W-I Oświaty i Wychowania oraz Kultury, tym bardziej że, jak już wspomniałem, stan obecny jest sprzeczny z obowiązującymi w tej mierze przepisami dot. gospodarki samochodowej.

Z-ca Przewodniczącego
Prezydium WRN
**mgr Zdzisław Pasternak**

### „Nie tylko muzyką „żyją festiwale"

*Do ostatniego artykułu M. Dereckiego „Nie tylko muzyką żyją festiwale" („Kamena" nr 13), zakradł się wcale niebagatelny błąd. M. Derecki pisze: „Ale szczególnym aplauzem cieszyła się kapela ludowa z Dzierżan w powiecie Tomaszów Lubelski...". Pragnę uprzejmie donieść, że w powiecie tomaszowskim takiej miejscowości nie ma. Coś „Kamena" pokpiwa sobie z Tomaszowskiego, niedawno pomieszały się jej nazwiska ojców powiatu i miasta („Wicemistrz" z n-ru 13), obecnie podaje coś innego, ale tak samo „pomieszanego". Jak na trzy numery, a jeden powiat, to ciut-ciut za dużo. Pozostając życzliwy*

A. Walentyn
Tomaszów Lub.

### „Kiosk na papierze"

OD REDAKCJI: Zarząd LSM dostarczył nam kopię pisma skierowanego do H. Arasimowicza, prezesa Zarządu WSS „Społem" w Lublinie, które dotyczyło sprawy sygnalizowanej przez czytelnika „Kameny".

*

Nawiązując do dyskusji na zebraniu środowiskowym w dniu 26 lipca br. w sprawie uruchomienia istniejącego od czerwca br. kiosku spożywczego przy ul. Wołodyjowskiego 7, uprzejmie prosimy o jak najszybsze spowodowanie zrealizowania złożonej przez Obywatela Prezesa deklaracji w tym przedmiocie.

Prosimy wziąć pod uwagę wyjątkowo uciążliwe warunki zaopatrzenia w podstawowe artykuły spożywcze mieszkańców osiedla im. Sienkiewicza oraz ich krytyczne na ten temat wypowiedzi, m. in. w 15 numerze „Kameny" w liście do redakcji pt. „Kiosk na papierze".

Lubelska
Spółdzielnia Mieszkaniowa
Zarząd

### O Koperniku w szkole

*Obchody 500-letniej rocznicy urodzin wielkiego astronoma szerokim echem odbiły się w naszych szkołach. Rok Kopernikowski był swego rodzaju bodźcem sprzyjającym rozbudzeniu zainteresowań i pogłębieniu wiadomości wśród młodzieży o postaci znanej dotychczas jedynie z podręczników szkolnych. Problem tkwił w tym, w jaki sposób nieszablonowo wykonać to zadanie. Opracowano z tej okazji szereg atrakcyjnych form zainteresowania młodzieży Kopernikiem i jego teorią. Jedną z nich były szkolne i międzyszkolne konkursy wiedzy o Koperniku, których laureaci byli nagradzani analogicznie do konkursów innego typu (np. biologicznych lub wiedzy o ZSRR).*

*Ciekawą formą popularyzacji wizualnej postaci i życia Kopernika była zorganizowana przez Inspektorat Oświaty w Lublinie wystawa malarstwa pt. „Kopernik w oczach dzieci". Prezentowano na niej prace malarskie uczniów szkół lubelskich, ukazujące z dziecięcą naiwnością, a zarazem dużą swobodą wyobraźni postać i pracę wielkiego astronoma. Znaleźć tu można było również grafikę, a wśród niej niebanalnie wykonane linoryty.*

*Okolicznościowy temat 500-lecia urodzin Kopernika stanowił swego rodzaju reklamę i doskonałą informację o szkolnych zbiorach bibliotecznych. Lekcje biblioteczne o Koperniku prowadzone były np. w mojej Szkole Podstawowej nr 13 w Lublinie, zarówno w klasach młodszych (III—IV), jak i starszych (V—VIII). Uczniowie mieli okazję do praktycznych ćwiczeń w zakresie przysposobienia czytelniczego. Zapoznawali się z wystawami książek, albumów, wycinków z prasy, plakatów, plansz dotyczących Kopernika (ekspozycje te były organizowane przez uczniów z Koła Miłośników Książki). Katalog biblioteki informował o wydanych w Polsce pozycjach dotyczących wiedzy o Koperniku, zarówno naukowych jak i literackich.*

*W młodszych klasach lekcje miały charakter bardziej informacyjny. Ważne było wyjaśnienie przy pomocy książek z biblioteki podręcznej nazw astronomicznych i nowo poznanych wyrazów. Sposobem, ułatwiającym wytłumaczenie zasad teorii heliocentrycznej i odróżnienie jej od systemu geocentrycznego, było na przykład przedstawienie przy pomocy dzieci i odpowiednich plansz ruchu planet na niebie. Ruchomy układ słoneczny, demonstrowany przez uczniów krążących kolejno z nazwami planet dookoła „nieruchomego słońca" (symbolizował je uczeń), wzbudzał duże zainteresowanie i sprzyjał wizualnemu utrwaleniu w pamięci zasady ruchu planet. Dzieci jednocześnie uświadomiły sobie, na czym polegało wzrokowe złudzenie, na którym oparte były dawne mylne poglądy astronomiczne. W bliższym omówieniu postaci Kopernika wykorzystywano wybrane przez uczniów opowiadania z czasopism dziecięcych oraz przystępnie napisane książki o astronomie.*

*Lekcje w klasach starszych miały charakter bardziej dyskusyjny i problemowy. Fakty biograficzne na ogół były już znane (uczniowie oglądali m. in. film o Koperniku). Omówiono szerzej sprawę polskości uczonego. Uczniowie przytaczali przykłady, widoczne zarówno w biografii jak i w działalności astronoma, świadczące o jego polskości. Ustalono na podstawie pomocy bibliotecznych polskie pochodzenie nazwiska Kopernik (m. in. w oparciu o książkę S. Grzybowskiego: „Mikołaj Kopernik" i J. Łosia: „Polskość Mikołaja Kopernika").*

*Drugim zagadnieniem była charakterystyka epoki. Młodzież przypominała głośne, znane z historii fakty, które miały miejsce za czasów Kopernika (odkrycie Ameryki przez Kolumba, wynalazek druku przez Gutenberga). Zainteresowaniem cieszyły się pokazane na lekcji przez bibliotekarza reprodukcje miniatur i inicjałów z ksiąg XV—XVI wieku. Na lekcjach posługiwano się również eksponatami wypożyczonymi z biblioteki uniwersyteckiej. Z ciekawością obejrzano fotokopie rękopisów Kopernika wydane przez PWN. Trzeba zaznaczyć, że większość uczniów wcześniej obejrzała wystawy kopernikowskie w bibliotekach uniwersyteckich UMCS i KUL (szczególnym zainteresowaniem cieszył się model sputnika).*

*Poza tym uczniowie opowiadali o znanych im (m. in. z serialu TV) artystach i uczonych polskich i obcych, działających współcześnie z Kopernikiem.*

*Ważnym zagadnieniem było omówienie znaczenia odkrycia Kopernika na tle ówczesnego, geocentrycznego poglądu na świat, a także wkładu myśli polskiej do europejskiej nauki i sztuki. Dla porównania przytaczano legendy i mity różnych narodów o stworzeniu i budowie świata. Stwierdzono, że rozwój nauk przyrodniczych, rozwój nowoczesnej astronomii, uwieńczony podróżami na Księżyc i badaniami kosmosu, zapoczątkowany został dzięki odkryciu Kopernika.*

*Na lekcjach wykorzystywane były również teksty literackie o Koperniku, m. in. Jana Nepomucena Kamińskiego, Władysława Broniewskiego, Tadeusza Śliwiaka, Mieczysława Jastruna, Jana Turkowskiego, Jana Piaseckiego. Dawało to pełniejszy obraz omawianego zagadnienia. Niektóre z tekstów wykorzystano później do montażu poświęconego obchodom Roku Nauki Polskiej, a przygotowanego przez bibliotekę szkolną i szkolne Koło Miłośników Książki.*

**Stefania Michalska**
Lublin

falsetem

# Tanim kosztem

W LECIE naczytałem się sporo o warszawskiej „Adrii", „Polityka", „Kultura", „Życie Literackie" zniechęciły mnie zupełnie do odwiedzenia tego lokalu. Jeśli porcja mięstwa kosztuje tam około 180 złotych, a butelka radzieckiego szampana około 400 złotych, sądzę, że lepiej będzie mi się kalkulować wyjazd do Słupska nawet pierwszą klasą pociągu pośpiesznego. O gastronomii w tym mieście wspomniałem już przed dwoma tygodniami. Zachęcałem, aby organizować wycieczki do Karczmy pod Kluką, wycieczki, w których skład wchodziliby dyrektorzy zakładów gastronomicznych, kierownicy wszelkiego rodzaju placówek żywienia zbiorowego.

Karczma pod Kluką bynajmniej nie stanowi w Słupsku przysłowiowego rodzynka. W restauracji o nazwie „Piracka" otrzymałem za 33 złote taką porcję znakomicie przyrządzonej wołowiny i taki zestaw pikantnych sałatek, że wprost nie byłem w stanie wszystkiego skonsumować. Nic dziwnego, że książka życzeń i wniosków może tam stanowić jeden wielki pean pochwalny.

Pytałem dyrektora Słupskich Zakładów Gastronomicznych, młodego, energicznego człowieka, jak on „wychodzi na swoje"? W odpowiedzi zawiózł mnie do warsztatów stolarskich, stanowiących własność tamtejszej gastronomii, i pokazał, ile można zaoszczędzić, gdy wszystkie urządzenia — pomysłowe stoły, ławy, a także to, co się nazywa wystrojem, przygotowuje się we własnym zakresie, gdy ma się zgraną załogę i gdy się o nią umie dbać.

Słupsk rywalizuje z Nowym Sączem. Te dwa miasta na zmianę zdobywają w naszym kraju palmę pierwszeństwa. Bardzo dbają o konsumentów, ale wcale nie myślą rezygnować z osiągnięcia dobrych wyników ekonomicznych.

A ile rodzi się pomysłów! Oto restauracja serwująca potrawy rybne — „Tuńczyk". Obok właściwego lokalu powstała cała... wioska rybacka. Stoły i ławy pod pomysłowymi daszkami. Jakże to jest inne od tego, co zaprezentowała nam lubelska „Ewa"!

Podobne „wioski" modne są i w Ustce, którą też władał Słupsk. W „Wiosce Wikingów" (bo tak jedną z nich nazwano) piwosze zasiadają przy długich stołach ledwo co pohebłowanych. Trudno ten sprzęt zniszczyć, a jak ktoś wyrzeźbi na blacie swoje inicjały czy też serce przebite strzałą też zbytniej straty nie będzie.

Można więc tanim kosztem, w zgodzie z miejscową tradycją, wybudować coś, co czynne jest tylko przez krótki sezon letni. Ku zadowoleniu wczasowiczów. Tak, ale chyba również ku zadowoleniu dyrekcji zakładów gastronomicznych, która przecież nie ma zamiaru spełniać roli hojnego dobroczyńcy!

W Karczmie pod Kluką podano mi filiżankę polewki myśliwskiej. To już był trunek. Wino z koglem moglem. Nie wspominałbym o tym, gdyby nie drobny fakt: ów napój kosztował około pięciu złotych. Spytałem później dyrektora, jak było możliwe skalkulowanie tak niskiej ceny. Okazało się, że rzecz polega na surowcu. Wino, z którego wyrabia się polewkę myśliwską, bynajmniej nie jest gronowe. Ot, zwykły sikacz. „Gdybyśmy do polewki używali win importowanych — odwiadczył dyrektor — jej cena powinna być dwa razy wyższa. A kto mi zaręczy, że polewkę rzeczywiście robiono by z win gronowych? Trudno wszystkiego przecież dopilnować..."

Wszystkiego istotnie trudno. Kiedy jednak po powrocie do Lublina odwiedziłem samoobsługową restauracyjkę (?) na LSM-ie (obok końcowego przystanku „dziewiątki"), zdałem sobie sprawę z tego, ile mądrości tkwi w lapidarnym stwierdzeniu PODRÓŻE KSZTAŁCĄ. I przez moment pomyślałem, że może w czasie letniego urlopu i dyrektorzy lubelskich zakładów gastronomicznych przypadkowo znaleźli się w Słupsku...

Marzyciel ze mnie! Prawda?

**MAJ**

Rys. Stefan Wielgus

# Gdzie zjeść szprotkę?

PRZYCHODZI latem taki okres, że zaczynam korzystać z barów mlecznych w Lublinie. Zaczynam — i bardzo szybko kończę. Brak wentylacji we wszystkich tego rodzaju lokalach jest szczególnie dokuczliwy właśnie w czasie upałów. Nie dodaje mi również apetytu widok stosów brudnych talerzy i zachlapanych stolików, bo tak się jakoś dziwnie składa, że kiedy ja i tysiące innych ludzi pracujemy normalnie — pokaźna część kelnerek, sprzątaczek i pomywaczek korzysta z urlopów. Nie zawsze przecież z przymusowych — macierzyńskich.

Najbardziej jednak zniechęca mnie jadłospis. Przez całe lata taki sam: kluski z makaronem, pierogi ruskie i coś tam jeszcze. Sklepy i targowiska zawalone są jarzynami i owocami — a w naszych barach mlecznych marchewkę, kapustę czy zupę z jabłek uważa się za rarytas, pojawiający się równie rzadko jak w „Europie" kawior. Gdy się o coś takiego zapytam — nieśmiało, bo jednak zdaję sobie sprawę, że postępuję jak intruz, któremu zachciewa się jakichś ekstrawagancji — gdy, więc zapytam o marchewkę, czy jabłka w cieście, usłyszę niezmiennie: już nie ma. Obojętnie, o której to będzie godzinie — trzynastej czy ostemnastej.

A kiedy już wspomniało się o kawiorze, do ryb niedaleko. I zastanawiam się od dawna, dlaczego to w naszych barach mlecznych — nazwa przecież i tak jest umowna, bo sprzedaje się tam wiele innych rzeczy nie nie mających wspólnego z mlekiem — nie podaje się potraw rybnych?

Nie chodzi mi o wędzonego łososia czy pstrąga z rusztu. Bary mleczne, nawet gdyby były czyste i przestronne, nie nadają się do gastronomicznej kontemplacji nad tego rodzaju specjałami. Ale mam pomysł, który jestem gotów bezinteresownie przekazać do wykorzystania Centrali Rybnej, a przede wszystkim dyrekcji, której podlegają bary mleczne.

Oto np. mógłbym dostać na obiad lub kolację gorące kartofelki, kawałek kalafiora (lub trochę marchewki) i wędzoną makrelę. Żaden kłopot dla baru — makrelę po prostu bierze się ze skrzynki, waży i podaje konsumentowi. Albo np. na śniadanie biały twarożek zmieszany z pognieciony mi szprotami (naturalnie wędzonymi). W domu często robię sobie coś takiego — i palce liżę. Nie widzę też żadnych przeszkód, aby na śniadanie lub kolację podawać całą — lub połowę — puszki śledzia po kaszubsku czy gdańsku. Kombinacji zresztą może być bardzo wiele, jako że asortyment ryb mamy bardzo bogaty i urozmaicony smakowo. Rzecz w tym, aby bary chciały pomyśleć trochę o klientach, a nie tylko o własnej wygodzie. I niech mi ich dyrekcja nie mówi, że kuchnie są zbyt szczupłe, że magazyny itp. Do sporządzania wymienionych wyżej potraw nie trzeba żadnych urządzeń kuchennych, na dwie lub trzy skrzynki ryb i kilkadziesiąt puszek też codziennie znajdzie się miejsce.

Jeżeli już zabawiam się w reformatora naszej gastronomii, to jeszcze jedna propozycja. Jak wszyscy wiemy, dawna przytulna „Ewa" zamieniła się z chętnie odwiedzanej kawiarenki w żłopalnię piwa. Nie pijalnię — ale po prostu żłopalnię. Pokaźna część dzisiejszej klienteli to ci, którzy doprawiają się po wódce, lub przygotowują do jej wypicia. Dlaczego ja i tysiące, dziesiątki tysięcy lublinian nie możemy prawie nigdzie dostać koktejli mleczno-owocowych, a dlaczego pijacy lub kandydaci na nich mogą dostać piwo niemal na każdym kroku? Czasem wygląda mi nawet na to, że jestem przez naszą gastronomię traktowany jak obywatel drugiej, może nawet trzeciej klasy — przeciw czemu gwałtownie i publicznie protestuję.

Myślę więc, że „Ewę", po zmianie szyldu, można by przekształcić w dużą smażalnię ryb, niezmiernie potrzebną w centrum miasta. Całe jej obecne zaplecze wraz z salką kawiarnianą przerobiłbym na kuchnię, a dania serwował na tarasie pod parasolami. Ba — zaproponowałbym nawet więcej. Bez przesady od lat dziesięciu słyszę, że ten wolny placyk na rogu ulic Pstrowskiego i Kołłątaja jest na coś zarezerwowany. Tylko na co — nikt dokładniej nie wie. Mnie się wydaje, że placyk jest zbyt mały, aby postawić tam wieżowiec. A na jakiś urząd też będzie zbyt ciasno, bo schody i korytarze zajęłyby przynajmniej połowę powierzchni, co byłoby olbrzymim marnotrawstwem na tak małej przestrzeni.

Więc nie wahałbym się wydać Centrali Rybnej — powiedzmy na lat pięć — zezwolenia na budowę szklanych ścian i lekkiego sufitu, aby ta smażalnia mogła być czynna przez cały rok. Już widzę oczami wyobraźni, jak interesanci, spieszący do DOKP, Wydawnictwa Lubelskiego czy Prokuratury Wojewódzkiej, nie mówiąc o MDK, po drodze wpadają na gorącą rybkę...

A swoją drogą myślę, że dyrektor Centrali Rybnej, jeżeli chodziaż jedna z tych propozycji zostanie zrealizowana, przyśle mi w prezencie jednego szprota. Zaszyję go i powieszę nad łóżkiem jako pamiątkę cennej inicjatywy, której przyklasną i lubelscy krajanie i nasi goście.

**BUR**

# Los zabytków

OCHRONA zabytków w Polsce wchodzi na nowe tory. Ciekawe jednak, dokąd ta kolejna reforma organizacyjna zaprowadzi, jako że na nowe tory wchodziliśmy w tej dziedzinie już kilkakrotnie, nie osiągając celu, czyli w pełni sprawnego systemu opieki nad pomnikami przeszłości. Jest to o tyle intrygujące, że cała sprawa ma sporą tradycję, już w 1786 roku ukazał się prospekt księdza Zubowskiego, zwracający uwagę na potrzebę spisania tego narodowego dobra. Dopiero jednak w latach czterdziestych ubiegłego wieku idea ta doczekała się materializacji. „Delegacja do opisywania zabytków starożytności w Królestwie Polskim", dowodzona przez archeologa i paleografa Kazimierza Stronczyńskiego, wędrowała po kraju lat jedenaście (1844—1855), docierając do 386 miejscowości, w których zetknęła się z 250 kościołami i 80 zamkami, notując następnie swoje obserwacje w pięciu tomach i siedmiu atlasach, zaopatrzonych w ponad 420 widoków akwarelowych.

Jeżeli ktoś ma ochotę na przygnębiające doznania, niech weźmie do ręki ten materiał, znajdujący się w bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, i przekartkuje pod kątem aktualności jego informacji. Okaże się, że niemal połowa obiektów, opisanych przez Stronczyńskiego, albo w ogóle już nie istnieje, albo znajduje się w stanie kompletnej ruiny. Wydarzenia dziejowe i niefrasobliwość poniektórych rodaków ostro przetrzebiły to bezcenne i ciągle żywe archiwum, zbiór najbardziej wymownych i sugestywnych dokumentów polskiej historii, polskiego myślenia, umiejętności i poczucia piękna.

A dzieje się tak jakby na przekór, na pośmiewisko rzeczywiście rozległym staraniom o zachowanie zabytków przy życiu. No bo przecież tylko w tym roku na renowację i konserwację dawnej architektury przeznaczono 470 000 000 zł, o sto milionów więcej niż w roku poprzednim, organizując poza tym szereg akcji propagandowych, zmierzających do pozyskania dla wiadomej idei wielkich zakładów przemysłowych, potencjalnych użytkowników zamków i pałaców. Ale w tej całej machinie zawsze znajdzie się jakiś „nie taki" trybik, weźmy choćby oprawę owej akcji „zabytki na sprzedaż". Film, który w zamyśle miał zachęcić współczesnych menagerów do wprowadzania się na pokoje, otwierała panorama zamku w Janowcu nad Wisłą, całkiem ładna, ale z punktu widzenia handlowca, kupca — beznadziejna, albowiem skomponowana z ruin! Taki początek odrzuca od sprawy, takie podejście jeszcze raz przekonuje że nie mamy pojęcia o zasadach skutecznej reklamy.

Z innej, acz podobnej beczki: nie tak dawno rozlepiono po Polsce plakaty, na których widnieje dekoracyjny motyw ludowego rękodzieła, zaopatrzony podpisem „Kultura ludowa dobrem narodu". A juści, dobrem to ona jest, lecz czy taki plakat przekona o tym przechodnia? Albo czy do opieki nad zabytkami zachęcą strasznie ubogie, na ogół fatalnie wydrukowane i mizerne informacyjnie plakaty, kolportowane bodaj co roku w miastach i siołach — chyba dla celów statystycznych? Nie popisali się też szefowie zorganizowanej ochrony nad przeszłością, dopuszczając do wydrukowania żenujących pod względem graficznym i nic nikomu nie mówiących etykiet zapałczanych, rzekomo propagujących szczytną ideę. Były pieniądze, trzeba je było wydać. W rezultacie społeczna, obywatelska ochrona zabytków w Polsce w zasadzie nie istnieje, aczkolwiek z niemalże chorobliwym uporem wmawia się nam, że PTTK czuwa. W moim osiedlu na Kalinowszczyźnie ORMO też czuwa, lecz mimo tego kradną i macają po gębach. Niedawno w Tęczynie uczniowie — pod okiem nauczyciela! — rozebrali cudowny portal, bo im kamienia zabrakło do rzutów na odległość. Młodzież mamy krzepką i coraz lepszą.

Nie ulegajmy jednak złudzeniom, zabytki zawsze i wszędzie były i są narażone na wściekłość ludzi z inicjatywą, wyniesających w przyszłość. W 1527 roku wojska cesarza Karola V splądrowały Rzym, w 1687 admirał wenecki zbombardował Akropol, Napoleon wprowadził zwyczaj wymuszania na pokonanym przeciwniku kontrybucji w cennych dziełach sztuki... Dalej nie pójdę, bo wstręt bierze.

**W. J.**

# Noty i notki

**Nareszcie można** się odmłodzić, podróżując w czasie „do tyłu". Pomysł przekazuję pod rozwagę „Orbisowi" i innym biurom podróży — klientela zapewniona. Otóż, jak doniósł „Sztandar Ludu" (nr 189), Zespół Tańca Ludowego UMCS 13 sierpnia wyjechał do NRF i Austrii, a wrócił już 6 sierpnia, aby zdążyć na święto „Trybuny Ludu". Nie rozumiem jedynie, dlaczego taka sztuka udaje się tylko młodym?

●

**Tygodnik studencki „itd"** w 185 tysiącach egzemplarzy rozpowszechnił taką oto perełkę poezji pod postacią piosenki, której autorem i kompozytorem jest niejaki Jan Stanisławski: „Oryginalność rzecz paskudna,/świat dobrze o tym wie/ i orzeł nie poleci równo/nabrawszy manier much tse-tse... Historia sypie jak z rękawa/przykładów na ten temat dość./Gdy pod Raszynem Książę zsiadał z konia — to, panie, było coś./A Poniatowski to był fisza, nie jakaś byle szara płoć..." I pomyśleć że podobne wyczyny są niekaralne.

●

**Ten sam numer** „itd" (32) przynosi coś w rodzaju spowiedzi niejakiej Barbary H. z Sosnowca. Wyznaje ona publicznie: „Rok temu zdałam maturę i dostałam się na AGH w Krakowie. Nauka szła mi zawsze bardzo dobrze. Na studiach od samego początku świetnie dawałam sobie radę. Nagle okazało się, że jestem w ciąży". Widocznie, panno Basiu, z tą nauką i dawaniem sobie rady było jednak nieco inaczej. Po prostu nauka poszła w las...

●

**Podobnie jak ostatnio** „Kamena", również szczeciński miesięcznik „Spojrzenia" walczy w osobnej rubryce o czystość i poprawność naszego języka. W nr 8 (J.W.) zirytował się z powodu nadania jakiejś restauracji nazwy „Chief". My w Lublinie mamy dla odmiany dom towarowy pod nazwą „Minimax" lub „Minimax" — pisane jak kto woli. Ten sam (J.W.) ze słusznym przerażeniem stwierdza, że na zawodowych studiach administracyjnych (półwyższych) ani jednej godziny nie poświęca się językowi polskiemu. Nic dziwnego, że nasz kraj zalewa wciąż nowa fala administracyjnej „polszczyzny". A w moim gimnazjum — jeszcze przed wojną — od piątej klasy począwszy za dwa błędy ortograficzne lub gramatyczne, trzy innego rodzaju i cztery razy źle postawione znaki przestankowe otrzymywało się dwóje. Za dwie dwóje w ciągu roku była dwója na końcu roku, co równało się nieotrzymaniu promocji do następnej klasy. Gdyby to zastosować dzisiaj...

●

**W numerze z 12 sierpnia** „Tygodnik Demokratyczny" doniósł, że w Lublinie „obradowało Polskie Towarzystwo Ludoznawcze". Ki diabeł, pomyślałem sobie, a my tu w Lublinie nic o tym nie wiemy? Potem dopiero przypomniałem sobie, że istotnie Towarzystwo obradowało, tyle że w dniach od 8 do 10 czerwca.

●

**Niemal w każdym** numerze gdańskie „Litery" publikują krótkie informacje o książętach pomorskich, których imiona są niemal zupełnie nieznane w głębi kraju. Bardzo to pożyteczna robota — pod warunkiem, że nie będzie w nich takich błędów, jak w informacji o Subisławie I Krzewicielu (nr 8). Książę ów zmarł 13 stycznia 1178 roku, ale dwa lata później „udzielił poparcia zamachowi stanu Kazimierza Sprawiedliwego". Mój Boże, duchy dotychczas tylko straszyły. Ale to wystarcza Anglikom, nie nam.

●

**Na temat Gałczyńskiego** wciąż kontrowersje. W „Życiu Literackim" (nr 32) Juliusz Kydryński pisze m.in., że poeta chodził w berecie spadochroniarskim i że po zakończeniu wojny przebywał na jakichś „robotach" w pokonanej już Rzeszy. Gdyby Kydryński czytywał dobrze redagowane wrocławskie „Wiadomości", wiedziałby z nr 23, że był to beret pancerniacki, prawdopodobnie od żołnierzy I dywizji gen. Maczka. Gdyby zaś choć trochę orientował się w stosunkach w zwyciężonych Niemczech wiedziałby również, że w roku 1946 ani jeden Polak nie przebywał tam „na robotach". Wiedziałby także, gdyby chciał zgłębić temat przed napisaniem artykułu, że to nie „Tygodnik Powszechny" czy inne pisma krajowe sprokurowały wiadomość o rzekomej śmierci Gałczyńskiego, ale że zrobiła to jedna z agencji prasowych, prowadzonych na zachodzie przez Polaków, którzy nie chcieli wracać do kraju — a pewnym już było, że Gałczyński chce właśnie wracać. O czym wiedzieliśmy nawet my w Kilonii, chociaż Gałczyński przebywał w Belgii.

**JOD**

**Z pewnym opóźnieniem** wpadł mi w ręce lipcowy (III) numer „imt" czyli "Światowida". Niejaki (js) pisze o mieście Manifeście Lipcowego, czyli o Chełmie Lubelskim. I w pewnym fragmencie tworzy taki dziwoląg językowy: podziemia chełmińskie. Mylnie informuje również, że PKWN w Chełmie zebrał się w kilka godzin po nocy z 21 na 22 lipca, kiedy wiadomo, że członkowie PKWN przybyli do miasta 27 lipca.

**mj**

●

**Uwaga czytelnicy:** Zapożyczamy pomysł z „Żywocika literackiego" (przepraszamy, dziękujemy) i zwracamy się o pomoc do naszych czytelników w redagowaniu tej rubryki. Prosimy o nadsyłanie wycinków z prasy krajowej (z „Kamenę" włącznie), które warto właśnie tutaj wyeksponować. Honorarium — według normalnych stawek. Na kopercie prosimy zaznaczyć: „Noty i notki". **(red).**

Waleria Sulima

# smak miłości i łez

POSTE RESTANTE

**Ojciec Barbary narobił jakichś szwindli. Mariusz poważnie zaczyna martwić się o swoje pieniądze. A jeszcze rano Nina prosiła go, aby wycofał jej część gotówki. Akcja naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante", zaczyna przebiegać dramatycznie.**

(23)

*— Co robić, co robić? — Mariusz bezskutecznie starał się uszeregować myśli. Dopiero teraz uświadomił sobie, że rację miała Nina, że postąpił jak smarkacz, zawierzając bądź co bądź nieznanym ludziom. Skusił się na wysoki procent, a teraz wszystko się zawaliło. Czuł, że poniósł pierwszą w życiu porażkę. Ale czy rzeczywiście wszystko było stracone?*

*Tymczasem Basia stanęła po stronie matki.*

*— Dziwię się, Mariuszu. My mamy więcej powodów do zmartwienia. Zresztą zaczekajmy jeszcze dzień, dwa, może wszystko się wyjaśni. Pójdziesz na milicję i co powiesz?*

*— Właśnie, co pan powie? — podchwyciła matka Barbary. — Powie pan, że pożyczył mężowi pieniądze? Przecież to była dobrowolna umowa. Dostał pan wysoki procent. Takich procentów brać nie można. Trzeba jeszcze, żeby pan miał nieprzyjemności. Wszystko możemy załatwić polubownie. Ja postępuję bardzo szczerze. Dam panu zaraz dwadzieścia tysięcy złotych. To będzie wyraz mojej dobrej woli i dowód, że może mi pan zaufać. Czynię to dla dobra pana i dla dobra Basi. Proszę tylko, niech pan mi wypisze pokwitowanie, że te pieniądze otrzymał.*

*Wyszła do kuchni i po chwili wróciła kładąc na stół dwadzieścia tysiącłotówek.*

*Mariusz zawahał się. Wtedy Basia powiedziała:*

*— Masz najlepszy dowód, że nikt w tym domu nie chce ciebie oszukać.*

*— Basiu, jak możesz tak mówić? Ale przecież wiesz — dodał, jakby chciał się usprawiedliwić — że to nie tylko moje pieniądze...*

*— Panie Mariuszu, ale teraz karty na stół — dodała matka Barbary. — Pan ma pokwitowanie męża, że pożycza mu 190 tysięcy złotych, a przecież faktycznie pożyczył pan mu 160 tysięcy złotych.*

*— No tak umawialiśmy się...*

*— Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie dzisiejsza sprawa. Nie wiem jeszcze, jak to się skończy, myślę, że szczęśliwie, ale chciałabym, aby pan zniszczył to pokwitowanie. Ja panu wypiszę nowe.*

*— Jakie nowe?*

*— Po prostu pan pożyczy pieniądze nie mężowi, ale mnie.*

*— 190 tysięcy?*

*— Sytuacja się zmieniła. Oddam panu wszystko co do grosza 31 grudnia i dołożę 5 tysięcy złotych w charakterze procentu. To i tak będzie o tysiąc złotych więcej niż otrzymałby pan z PKO, ale tam musiałyby pieniądze leżeć przez rok. Za 160 tysięcy złotych otrzymałby pan 8 tysięcy złotych procentów, a tu za pół roku otrzyma pan 5 tysięcy złotych. Bardzo uczciwy interes. Daję więc panu teraz 30 tysięcy złotych, pozostaje 140 tysięcy złotych długu, a ja kwituję pożyczkę w wysokości 145 tysięcy złotych, którą ureguluję do 31 grudnia. Wszystko jasne, prawda?*

*Mariuszowi zakręciło się w głowie od tych liczb. Zupełnie nie wiedział, co mówić. Zdziwiło go tylko, że matka Barbary tak świetnie orientuje się w finansach. Gdyby oceniał ją na oko, mógłby sądzić, że te sprawy są jej najzupełniej obce. Tymczasem okazała się doskonałą rachmistrzynią.*

*Mariusz czuł, że dzieje się coś niedobrego. Basia też jakby zorientowała się, że matka nieco przesoliła w interesach, bo dyskretnie wycofała się do drugiego pokoju. Jej nieobecność dobrze wpłynęła na Mariusza. Postanowił walczyć o swoje pieniądze. Schował 20 tysięcy złotych do kieszeni i poprosił o papier. Napisał: „Niniejszym kwituję odbiór od pani... 20 tysięcy złotych tytułem zwrotu części pożyczki". Postawił datę i złożył zamaszysty podpis.*

*— Tak pan zdecydował? — Matka Barbary nie ukrywała złości.*

*— Na razie tak. Muszę całą sprawę przemyśleć.*

*— Dobrze. Uczyni pan tak, jak uważa — powiedziała chłodno. — A teraz chciałyśmy się położyć i trochę odpocząć. Basiu — zawołała — pożegnaj się z panem Mariuszem, bo już nas dzisiaj opuszcza.*

*Z najbliższej budki telefonicznej Mariusz zatelefonował do Niny. Ucieszył się, gdy usłyszał jej głos w słuchawce.*

*— Nino — powiedział. — Kiedy poznasz mnie z twoim Robertem? Bardzo potrzebuję rady mądrego człowieka.*

*(dcn)*